

# GŁOS

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNO-POLITYCZNY.

## HAMULCE<sup>1)</sup>.

Posiadamy w Warszawie wiele sympatycznych przedsięwzięć, „w które przelano niemało dobrych chęci, zacnych wysiłków i chybionych zabiegów.“ „Najczęściej jednak popełniamy „szereg błędów nie tylko specjalnych, zależnych od niskiego poziomu nauki naszej, ale i zasadniczych, stale niemal z rozmaitemi sosami odgrzewanych u nas przy wszelkiej akcji zbiorowej“ (Ob. *Głos* Nr. 40 „Po wystawie“).

Nizki poziom nauki u nas nie w każdej gałęzi stwierdzić się daje. W wielu kierunkach poziom ten dorównywa zupełnie poziomowi europejskiemu. Chybianie celu, zdaniem naszym, polega głównie na owych błędach zasadniczych każdej niemal akcji zbiorowej oraz na niepowołanej, a raczej niedołężnej krytyce każdego wysiłku społecznego.

Krytyka w tym zakresie, tak jak i w nauce, uprawiana jest u nas najczęściej przez najnieodświeższych ludzi, którzy tą najłatwiejszą drogą chcą zdobyć sławę sobie i swym wątpliwej wartości elukubracjom. Druga część krytyków należy do rzędu ludzi piszących dla chleba, na zawołanie, i pisze tak, jak tego żąda od nich ta lub owa redakcja—spokojna, trzymająca się zasady, że bezbarwna, smaku pozbawiona woda z mydłem strawniejszą jest dla czytelnika i zdrowszą dla pisma, niż absynt gorzki, przez grupę poprzednią w gardło wlewany, choćby *à propos des bottes*.“

Z krytyką poważną, bezstronną, spotykamy się w prasie naszej nader rzadko, a to dla tego, że mało kto z ludzi istotnie do tej roli przygotowanych, zasobnych w doświadczenie i sąd wyrobiony ma sposobność lub ochotę zabrać się do systematycznej oceny owoców pracy drugich. Ludzie tacy u nas najczęściej więcej do dalszych

własnych garną się wysiłków, niż do analizowania publicznego prac cudzych, gdyż: 1° z natury rzeczy są, jako prawdziwi uczeni, wyrozumiałemi, 2° raduje ich każdy uczciwy objaw pracy osobniczej lub społecznej.—Twierdzą oni zawsze, iż większą przyniosą społeczeństwu korzyść współpracą, niż absenteizmem partyjnym.

Krytyka przejawów życia społecznego trudną jest z rozmaitych i bardzo ważnych powodów.

Mało kto u nas zdobędzie się na wypowiedzenie bezwzględne myśli swoich i przekonań, bo wie bardzo dobrze, jak różne sfery czytać go będą. Nigdy pewnym być nie może, czy nawet pismo, jedynie dla prawdziwie inteligentnych ludzi wydawane, nie dostanie się do osób głupich i złych, przez które myśl, tendencyjnie powykręcana, użytą zostanie za podstawę do oskarżeń. To nie obawa krytyki prawdziwej, tylko obawa wykrętnych argumentacji pseudo-uczciwych ludzi, którzy w tych razach nigdy nie omieszkają surowego wypowiedzenia prawdy nazwać „lekkomyślnem kalaniem i szkalowaniem tradycji.“ Stąd powściągliwość ludzi prawdziwie uczciwych, jasno położeń całe rozumiejących, stąd niewybredność niektórych redaktorów w wyborze krytyków, sprawozdawców i spostrzegaczy, gdy chodzi o sprawy społeczne. Dla tego też one kuleją; dla tego wielu dzielnych ludzi cofa się od udziału w przedsięwzięciach, przekładając pracę cichą na osobności nad dzielenie odpowiedzialności w pracy zbiorowej i narażanie nazwiska na poniewierkę, częstokroć zgóry zapowiadaną przez bezkarną zgraję reklamistów i reporterów. Odważniejsi po niewczasie spostrzegają, że wysiłki ich poszły na marne, bo zginęły w potopie najrozmaitszych uporów, interesów, względów, względzików, i że do nich samych przyklepiono albo wspólną, nieraz słuszną, a zawsze niewyrozumiałą admonicję, albo błoto paszkwilu, albo krzywdzący zarzut reklamy. Wobec tego można donkiszoterję nazwać dobrą wolę ludzi odważnych, którzy nie cofają się od współudziału w przedsięwzięciach publicznych.

Nie będziemy tutaj rozpatrywali wszystkich przejawów życia społecznego. Chcemy tylko zwrócić uwagę na pewną ich część. Nie poruszamy wcale sprawy wystawy higienicznej, bo nie o nią nam chodzi i roboty tej w całości nie

<sup>1)</sup> Artykuł ten pochodzi z poza koła redakcyjnego. Umieszczamy go tem chętniej, że jest na czasie, bo prasa rozbrzmiewa obecnie krytyką pewnych objawów naszej gospodarki publicznej i, co główna, że jest dokumentem, świadczącym, jak na tę gospodarkę zapatruje się inteligencja poza dziennikami stojąca.  
Red.

mieliśmy sposobności widzieć i oceniać, chcemy tylko na chwilę zastanowić się nad ogólnym charakterem tego rodzaju przedsięwzięć.

Wiele z nich rozplywa się najczęściej w mętniej, drzemiącej powierzchni małomiasteczkowego spokoju, pod którą, za lada podmuchem, bulgotać zaczynają niewzruszalne powagi przewodników, czyli tak zwanych „naszych nieodzownych.” Dziwna jest zaiste ta owa ich reakcja. Jest to nie spokój, iż braku poruszeń, lecz pewien rodzaj bezwładności, inercji, dzięki czemu powaga kamienna tych umysłów toczy się chętnie i łatwo tylko po równiach mniej lub więcej pochyłych, ustawionych rękoma zżecznych, lecz najczęściej płytkich ludzi. Ileż to już mieliśmy przykładów, że poniewczasie „nasi nieodzowni” spostrzegali z żalem, iż powaga swą, przy najuczciwszych zamiarach i bezwarunkowo tylko przez „nieumysłność”, oparawiali poziome, płaskie, spekulacyjne działania ludzi, pozornie tylko poświęcających się dobru społecznemu; w drugiej serji swych działań bezładnych hamowali też najszlachetniejsze próby działania ludzi obcych im, a raczej ludzi nie szukających „nieodzownego parawanu”, a hamowali jedynie dla tego, że niekrytycznie godzili się na kierunki i zasady, wytknięte im przez krzykaczy wytrawnych a bezczynnych, lub chwilowe wmawiania figur, umiających ukrywać plany głębsze, dla wszystkich szkodliwe, pod maską bezstronnej powagi i w imię rozsądku.

Ta małomiasteczkowość „naszych nieodzownych” zależy od kilku przyczyn. Jedną z nich jest niewątpliwie następująca. Był okres w historii naszej cywilizacji taki, że na pierwszorzędne stanowiska, na kierowników umysłowego rozwoju powoływano pośpiesznie ludzi, nie zawsze odpowiednio przygotowanych do roli, jaką im reżyser wyznaczał. Przy tym pośpiechu nie jeden fałszywym lub chwilowym blaskiem oświecony osobnik mógł ująć za figurę istotnie odpowiednią, nieraz zaś i tak się zdarzyć musiało, że nie chciano, nie zdążono lub zaniechano bliższego rozpatrzenia istotnych jego kwalifikacji. Trochę protekcji, nieco nepotyzmu, wreszcie różne względy i względziki, wszystko to wpływało na wybór kandydata. W ten sposób na czele oświaty stało grono bardzo niejednolite co do wartości istotnej. Miernoty naukowe, ludzie nieinteligentni, zajęli stanowiska współrzedne z istotnymi pionierami postępu, a zajmawszy je, już uzyskali na zawsze kwalifikacje na przewodników, na powagi czyli autorytety we wszystkich niemal sprawach społecznych.

Reklama stała i niezwalczona, którą dzienniki otaczały ich nazwiska, reklama, naiwnie w najlepszej myśli podjęta, wypychała osobistości te na czoło każdego przedsięwzięcia publicznego. Z tej najsłabszej części czcigodnego zastępu ciągle rekrutowali się prezesowie rozmaitych komisji, podkomisji, komitetów itd., jednym słowem najmniej zasłużeni a najwięcej reklamowani obejmowali wyłącznie i bez współzawodnictwa kierownictwo wszystkich spraw publicznych z napuszoną powagą prawdziwych ludzi słomianych (Strohmann). Wybierano ich prawie jednogłośnie ze względu

na ich siwe włosy, głowy szlachetnych starców, doświadczenie, a raczej nadzwyczajną ostrożność i bojaźliwość w życiu, wypróbowaną reaktywność na postęp, wreszcie ze względu na tradycyjnie utarte nazwisko i tytuły naukowe.

Pod takim przewodnictwem zbierają się ludzie z najlepszymi zamiarami, z obywatelską gotowością bezinteresownej pracy wspólnej, ale cóż z tego?—rozprawy ich i prace przypominają niestety rozzdzwieczny chaos wielkiej orkiestry, prowadzonej ręką niedołężnego dyłtanta. Zagajanie posiedzeń—to długie, wodniste, pozbawione treści mowy, prawie zawsze zaprawiane mnóstwem frazesów i anegdotycznym opowiadaniem przygód własnych, nie dotyczących przedmiotu. Po zagajeniu następuje szereg popisów członków „nieodzownych”, którzy, o ile nie są wszyscy wiceprezesami, to przynajmniej jako wytrawni radcy wezwani zostali do komitetu. Mowy ich, w stylu toastowym trzymane, rzadko kiedy zawierają wnioski konkretny, najczęściej składają się z bardzo teoretycznych marzeń, upiększonych gęsto komplementami i kadzidłami dla prezesa, wiceprezesa oraz członków komitetu. Ale niechno kto ze zwykłych śmiertelników ognistszem słowem zwróci uwagę na stratę drogiego czasu i plan wspólnej roboty nakreśli, prosząc o niezwłoczne rozpoczęcie oraz systematyczne prowadzenie całej pracy, wówczas wszyscy nieodzowni jeden po drugim wstają i w przepięknych, bardzo długich mowach: albo komplementują nieznanego mówcę, zadowoleni, że nareszcie zaczynają pojmować, o co chodzi, albo przeciwnie, z zadziwiającą zgodnością zasypują go lawiną ciężkich, kamiennych frazesów. Zależy to zawsze od szepniętej na ucho suggerstji, pochodzącej z ust takiego działacza, który zazwyczaj własne cele i własne ambicje okrywa parawanem parlamentarnych form i powagą „nieodzownych”, a więc nietykalnych, autorytetów. Widzimy więc, jak ważną jest rola takiego suflera. Sufler zaś, zanim się do tego zabierze, skompletuje sobie przedewszystkiem na pewno *większość* przedpotopowców w każdym komitecie i to z nadzwyczajną łatwością, gdyż pomaga mu w tem prasa, a więc niyeto głos ogółu.

To jest jedna część spraw społecznych, przez jedną grupę rządzoną, czy kierowaną. Druga część, wymagająca kapitału, wypływa z filantropji zwyczajowej, reklamowej lub szczerzej. W tej grupie „nasi nieodzowni” znowu znajdują się na ważnym stanowisku, zlewając się z zastępem ludzi możnych, dam i duchowieństwa. Tu znowu znajdują oni pole do popisywania się swoją zadziwiającą wymową, lub posagowem, imponującym milezieniem. Niestety, ileż to dobrych, rozumnych wniosków przepada na takiej sesji, gdy dojdzie do głosowania! Tutaj tak samo, cały zastęp z uporem głosować gotów zawsze za wnioskiem jednego ze swych towarzyszy. Bieda temu towarzystwu, lub tej gromadce ludzi, którzy do swego kompletu odważyli się nie zaprosić takich „nieodzownych.” Wszystko co robią, chociażby największe kwoty pieniężne i najważniejsze usługi humanitarne ofiarowali społeczeństwu, wszystko to osądzone będzie tak, jak naszym „nieodzown-

nym" podszepta ludzi, którym nie podoba się osoba iniejatora, albo ktokolwiek z jego współpracowników, lub co podszepta ludzi, zazdroszczący każdemu, kto nie drzemie w bezczynności, a więc się od nich różni.

Nie mamy bynajmniej zamiaru poparcia uwag powyższych faktami, gdyż zaprowadziłoby to nas na polemiczne bezdroża i zmusiło do ostrej krytyki wielu naszych towarzystw oraz instytucji. Nie chcemy tego czynić z powodu wielu względów. Pragniemy tylko zwrócić uwagę na ujemny wpływ „nieodczownych” na rozwój i prawidłowy bieg przedsięwzięć i zabiegów użytecznych.

W Warszawie, jak w każdym większym mieście, z każdym rokiem nowe powstają potrzeby, dla których zaspokojenia muszą naradzać się i pracować bezinteresownie całe grupy ludzi dobrej woli. Pragniemy gorąco, aby nadal w wyborze przewodników pozbyto się nareszcie zakorzenionego, fatalnego przyzwyczajenia, polegającego na bezmyślnem powoływaniu tych nieszczęsnych autorytetów. Liczyć na stosunki i wpływy ich samych, lub pokrewnych im głów utytułowanych oraz przypuszczać, że tylko oni zagwarantować mogą bezpieczeństwo i powagę przedsięwzięcia, to znaczy tyle, co obdarzyć świadectwem ubóstwa i niedołęstwa prawdziwą energję, prawosć, naukę i wytrwałość ludzi istotnie dzielnych. Ludzie tacy daleko prędzej, łatwiej i skuteczniej dają sobie radę bez opieki owych znanych firm i przedstawicieli. Kto zna bliżej stosunki warszawskie, ten od razu znajdzie w nich dość dowodów na poparcie powyższego zdania.

I. R.

## LEWONAS JODAS.

### I.

Kto bywał w Twórnianach, zapewne pamięta, że wieś ta leży nad obszernym jeziorem, z którego głębi wynurza się wyspa, mająca kształt olbrzymiego kopca, porośniętego odwiecznym lasem. Późną jesienią, gdy z drzew opadną liście, z wioski można dostrzec znajdujące się na wierzchołku góry rumowiska starego zamku. W gruzach tych mieszkają węże, nietoperze i Lewonas Jodas.

Obszaru wyspy nikt nie mierzył. Ludzie we wsi dowodzą, że lasu na niej prawie cztery włóki, a gruntu uprawnego na wierzchołku góry około rumowiska mniej więcej pięć morgów. Z dziadów pradziadów i grunt ten uprawia i lasu dozoruje ród Jodasów. Zmieniały się okoliczności, przemieniały się dziedzice, oni zaś wciąż siedzieli na wyspie. Zwykle tak się

## Wyprawa Nansena do bieguna północnego.

Od czasów Mac-Clure'a, który w latach 1850—53 przepłynął północnymi brzegami Ameryki od cieśniny Behringa do kanału Davis'a, odkrywając w ten sposób poszukiwane oddawna przejście północno-zachodnie przez ocean Lodowaty p., i Nordeaskiöld'a, który w r. 1878—79 odkrył także przejście północno-wschodnie brzegami Azji, — od czasu tych dwóch znakomitych wypraw podbiegunowych, żadna nie wywarła takiego wrażenia, jak świeżo w r. b. ukończona wyprawa Nansena.

I nie w tem niema dziwnego. Odrzucając nawet cały romantyzm trzechletniego borykania się z wrogimi siłami przyrody podbiegunowej, wyprawa ta jest jednym z rzadkich a potężnych objawów tej bezinteresownej walki o ideał, jaką niespokojny duch ludzki toczy od wieków na wszystkich polach: w dziedzinie nauki i sztuki, etyki i polityki, znajdując zawsze bojowników, którzy tłuką głową o twarde mury rutyny i uprzedzeń, rozbijają czaszki o nieprzebyte zapory, lecz porywają za sobą ludzkość ku coraz szerszym, coraz doskonalszym widnokręgom.

Zanim skreślimy w pobieżnym zarysie szczegóły wyprawy Nansena, przypomnijmy pokrótce, jak stały odkrycia podbiegunowe przed jego wyruszeniem.

Pomijając pierwsze, zapomniane potem odkrycia Norwegów w wieku XI i XII, od początku XVI wieku, to jest od braci Cabot, Cortereal'ów i Frobisher'a, — setki wypraw pod wodzą Gilbert'a, Davis'a, Hudson'a, Baffin'a, Behring'a, Ross'a, Kane'go, Franklin'a, Hayes'a i innych, dopro-

działo: najstarszy syn odziedziczał po ojcu chałupę i obowiązek, młodszy albo osiadali gdzieś na gruncie, albo służyli we dworze. Zczasem ci, co opuszczali wyspę, mieszały się z innymi włościanami i stawiali się podobni do nich, zato pozostający w chałupie niepodobni byli ani do tworniańskich, ani do innych sąsiadów: małowolni, podejrzliwi, spoglądali na ludzi z podłobą, jak gdyby badali, czy nie ma ktoś zamiaru zakraść się na wyspę i wyciąć paru dębczaków.

Teraźniejszy leśnik, Lewonas, od pacholęcia był niezwykle dziki. Do Twórnian dobrowolnie ani zajrzy, a jeżeli ojciec poszle go po coś, to wchodząc do wioski, nabiera w zanadrze kamieni. Prawda, dziatwa wiejska spotykała go niezbyt uprzejmie, ale sam temu winien: byle co, wraz sięga do zanadru. Kto pierwszy zaczął niesnaski, dzisiaj niewiadomo, ale tak jakoś stało się, że chłopacy we wsi nie lubili Lewonasa, a on ich nienawidził. Gdy podrośł, ukazywał się zwykle z pałką sę-

wadziły do dokładnego poznania wybrzeży oceanu lodow. północnego i wysp, rozrzuconych na północ Europy, Azji i Ameryki—aż do 80° szer. geogr. północnej, tj. do równoleżnika przechodzącego przez północną Grenlandję i północną część archip. Spitzbergen.

Za tym równoleżnikiem, jak za kołem zaczął rowaniem, do początku naszego stulecia leżała tajemnicza, niedostępna kraina, przedstawiana na mapach jako wielka biała plama.

Na tę właśnie plamę skierowała się uwaga prawie wszystkich późniejszych badaczy. Nie chodziło już o korzyści praktyczne: — samo poznanie nie wiadomego, przekroczenie zakłętej granicy, dotarcie do bieguna północnego i jego naukowe zbadanie, stało się celem wszystkich nowszych wypraw.

Jakoż, już w r. 1827 żeglarz angielski Parry, wyruszywszy ze Spitzbergu, gdzie okręt jego, objęty przez lody, musiał zimować, dotarł na saniach zaprzężonych w psy eskimoskie, do szerokości 82°45'. Wbrew oczekiwaniu, nie znalazł tam ani morza otwartego, ani też nowych lądów. Jak okiem zasięgnąć, w kierunku bieguna rozciągała się szeroka płaszczyna z nagromadzonych bezładnie kier lodowych, które powolnym a jednostajnym ruchem posuwały się na południe, oddalając się w ten sposób od bieguna.

W r. 1875 porucznik Markham z wyprawy Nres'a, który zimował pod 80° pomiędzy Grenlandją i Ellesmerlandją, również na saniach dotarł do 83°20' szerokości.

W kilka lat potem, w r. 1882, porucznik Lockwood, z wyprawy Greely'ego, posunął się na saniach o 4' dalej, dotarłszy do 83°24' na północ Grenlandji. Była to ostatnia dotąd poznana granica... Lockwood, zarówno jak Parry i Markham, skonstatował powolny ruch lodów ku południowi,

sądząc, że wywołują go prądy morskie, idące od bieguna północnego w stronę Grenlandji.

Wręcz przeciwnie fakty zanotowały wyprawy, które robiły badania po drugiej stronie bieguna od Europy i Azji.

W r. 1872 wyruszyła na Tegethofie pod dowództwem Preyera i Weyprechta wyprawa austro-węgierska, którą lody uwięziły niedaleko Nowej-Ziemi, na szerokości 75°, trzymając okręt przez lat dwa; otóż w r. 1874-m, okręt ten znalazł się na wysokości 80° stopnia, to jest w ciągu tych dwóch lat posunął się wraz z obejmującą go krą o 5 stopni na północ w stronę bieguna. Widocznie więc unosił go prąd, idący ku biegunowi. Wyprawa dotarła do gromady nieznanych wysp bazaltowych, pokrytych olbrzymimi lodowcami; wyspy te nazwano Ziemią Franciszka Józefa (Franz-Josephsland).

Do tego samego wniosku, mianowicie że istnieje musi prąd ku biegunowi, doprowadził nieszczęsny los Jeannette'y, okrętu wysłanego kosztem słynnego Gordona Benneta, właściciela „New-York Herald”, pod dowództwem kapitana De-Long'a. Wypląnawszy z cieśniny Behringa, na wysokości wyspy Wrangla (71° sz.) Jeannette'a została uwięziona przez lody (4 września 1879 r.) i wraz z niemi znalazła się w czerwcu r. 1881 niedaleko Nowej Syberji, tj. pod 77°15' szer. pn. Wiadomo, że tutaj, nie wytrzymałszy parcia lodów, Jeannette'a zatona (13 września 1881 r.), a załoga, cofając się na południe, zginęła z głodu, zimna i wycieńczenia na bezludnych wybrzeżach Syberji. Taki sam los spotkał wyprawę Greely'ego (1881), wysłaną na poszukiwania Jeannette'y.

Tymczasem w r. 1884 fale wyrzuciły na południowy brzeg Grenlandji narzędzia, odzież, rejestr i inne dowody, pochodzące widocznie

katą niby herszt zbójceki, a od przeszłego roku, po śmierci ojca zupełnie do wioski nie zagląda. Na wiosnę zgorzała mu izba, sąsiedzi myśleli, że przyjdzie wreszcie koza do woza, pokłoni się im Lewonas, poprosi pomocy przy budowie nowej chałupy; gdzie tam: wybrał kąt w rumowisku, z głowni ocalonych od pożaru przylepił dwie ściany, pokrył to wszystko sitowiem i niby niedźwiedź w barłogu zasypia ze swoim psem Rozbojem i paru prosiakami. Zresztą, dla szkapy i krowy ulepił z chrustu i gliny przybudówkę.

Z powodu swojej dzikości sam cierpi mało, ale i ludziom ze wsi wiele złego sprawia. W gospodarce, jak wiadomo, wiele się człowiek naturbuje, nim zdybie drzewko zdadne na koła, cepy, grabie, brony, a wyspa, jak na złość, porosła takimi drzewami, co najuczciwszego człowieka wiodą na pokuszenie: dęby, jesiony, graby, buki, lipy — aż oko nęca. Przy dobrych stosunkach sąsiedzkich możnaby niekiedy skorzystać, ale z Lewonasem nie

warto nawet o tem gadać. Śmielsi nieraz probowali zakraść się na wyspę i wyciąć jakiś drobiazg; kończyło się to smutnie! Lewonas niby szatan zgadywał nie tylko czyny, ale nawet zamiary człowieka. Był tylko kto stąpił na wyspę, i leśnik i pies już nań czyhali. Co tu mówić, nieużyty człowiek z Lewonasa!

A jednak i on zdobył sobie przyjaciela.

Na końcu wioski stoi chałupa Tomasza Skindrasa. Chłop to nijaki — ni gospodarz, ni komornik: gruntu posiada ledwo cztery morgi, a i te stoją nieraz odłogiem. Zimą szyje buty, chomąta, szleje, a nawet i siodła i tem zarabia na kawał chleba, latem zaś prawie cały czas, przesiadując w łódce na jeziorze, łowi ryby.

Lewonas natomiast grunt uprawia starannie, uporczywie i w dzień powszedni nie straci ani chwilkę na żadną przyjemność; zato w dni świąteczne już przed wschodem słońca pakuje do łodzi bucze, wędzierze, wędki — i dalejże na cały dzień na jezioro.

z rozbitego okrętu: na rzeczach tych odczytano podpisy De-Longa i innych członków załogi Jeannette'y... Były to oczywiście szczątki tego okrętu, który zatonął przed trzema laty po drugiej stronie bieguna; przebyły więc one w linii prostej 700 mil morskich przez biegun, na lodach, unoszonych przez prąd morski lub przez odpowiednią wiatr.

Podane powyżej fakty, mianowicie: stwierdzone przez Parry'ego, Markhama i Lockwooda prądy odbiegunowe ku Grenlandji, zaznaczone przez Preyera i De-Longa istnienie prądu dobiegunowego od brzegów Azji; wreszcie niewątpliwe przepłynięcie szczątków Jeannette'y od Azji do Grenlandji przez biegun północny, — były przesłankami, na podstawie których osnuł swój śmiały projekt znany już wówczas badacz Grenlandji z okolic podbiegunowych, norwegezyk Fritjof Nansen.

Niepospolity to pod każdym względem typ, szczególnie na tle naszego zniechęconego, przedwcześnie znużonego, dekadentckiego pokolenia. Urodzony w r. 1861-m, młodzieniaszkiem jeszcze będąc, słynął jako najlepszy łyżwiarz w Norwegji. W 21-ym roku życia odbywa podróż na okręcie wielorybniczym. W r. 1887, już jako kustosz Muzeum przyrodniczego w Bergen, robi wyprawę do Grenlandji, przebywając wszędzie lodowce na „sky” z paroma zaledwie towarzyszącymi...

Taki tylko człowiek mógł przedsięwziąć plan który po długich badaniach w lutym r. 1890-go przedstawił Towarzystwu Geograficznemu w Chrystjanji.

„Wiadomo, — mówił — że Grenlandja nie posiada drzew; tymczasem Eskimowie mają podostatkiem drzewa, które wyrzuca im na brzegi morze: drzewo to pochodzi z lasów Alaski i Syberji.

Sąsiedzi poznali się przy łowieniu ryb, a ponieważ Lewonas, mając dobre narzędzia i łódź należytą, nigdy nie wracał do domu bez połowu, Skindrasowi zaś nie zawsze udawało się, przeto leśnik nieraz dzielił się z sąsiadem zdobyczą, przyczem jakoby i dobre słowo umiał powiedzieć; przynajmniej Skindras dowodził we wsi, że Lewonas na jeziorze niezgorszy od innych ludzi, a od wielu i lepszy, byle tylko nie wszczynać z nim rozmowy o drzewach i niezbyt popatrywać na wyspę.

## II.

W dzień św. Trójcy zrana Tomasz Skindras suto wysmarował buty sadłem, powiesił je na płocie i gdy dostatecznie na słońcu wygrzały się, a tłustość przesiąkła skórę, włożył obuwie na nogi. Przyjemnie było stąpać — miękko, ciepło, aż dusza rośnie. Na szyję Skindras założył szalik z włóczki czerwonej, po-

cji. Wiadomo dalej, że kry lodowe przy brzegach Grenlandji pokryte są często żółtymi plamami, które, według badań Dr. Kiellmanna, słynnego botanika, składają się z okrzemek, zupełnie podobnych do tych, jakie sz. profesorowi dostarczono z cieśniny Behringa. Wiadomo wreszcie, że kry i góry lodowe w okolicach Syberji, po jednej stronie bieguna, są grube, świeże, młode, — gdy po drugiej stronie, wyrzucone na brzegi Spitzbergu, są widocznie stare, wieloletnie. Otóż i te drzewa syberjskie, i te okrzemki z cieśniny Behringa przepływają niewątpliwie biegun północny wraz z lodami niesionymi przez prąd, który z jednej strony unosił ku biegunowi Jeannette'ę i Tegethofa, z drugiej oddalał od bieguna okręty Parry'ego, Markhama i Lockwood'a, — ten sam prąd, który przeniósł przez biegun szczątki Jeannette'y od brzegów Azji do Grenlandji...

A więc — rozumował Nansen — jeśli postawię się w tych samych warunkach, będę mógł odbyć tę samą drogę, co szczątki Jeannette'y... Niech tylko mam okręt dość silny, aby wytrzymał parcie lodów, udam się w okolice Nowej Syberji, tam pozwolę się uwięzić lodom — i z nimi razem popłynę przez biegun! Szczątki Jeannette'y potrzebowały 3 lata na przebycie tej drogi: cóż z tego? ja gotówem zużyć więcej czasu, jeśli będzie tego trzeba. Zresztą będę w lepszych od Jeannette'y warunkach: będę miał psy, sanki, „sky” i namioty, będę mógł robić wycieczki na wszystkie strony, rysować mapy, prowadzić spostrzeżenia i badania, wracając coraz do mego okrętu, który, uwięziony wśród lodów, posuwać się będzie zwolna ku biegunowi.”

Plan ten, wspaniały a prosty zarazem, doznał jaknajlepszego przyjęcia. Dzielność jego napała dumą normandzką duszę Norwegów; doprowadzenie go do skutku stało się sprawą narodo-

czem wdział prawie nową kapotę i wyruszył ku jezioru.

Zaledwo chwil kilka powstał na brzegu, wdali ukazała się łódka. Mknęła po cichej powierzchni lekko, zwinnie niby szczupak; gdy przybiła do brzegu i Skindras wskoczył do niej, wnet popłynęła na wyspę.

Cieśla wiejski, Maciej Protas, stojący u swojej chałupy, widząc to zjawisko, dwakroć przecierał oczy kufakiem, wpatrywał się, kręcił głową, wreszcie niedowierzając sobie, przybliżył się do okienka i zawołał:

— Antku, chodź tutaj.

Z izby wyskoczył żwawy podrostek.

— Patrz — ozwał się stary — kto tam w łódce?

— A któżby, dziadusi! Skindras w nowej sukmanie.

— A drugi kto?

— Drugi?... Jak gdyby Lewonas — szepnął chłopak niedowierzająco.

wą. Posypały się składki. Storting wotował dwukrotnie po paręset tysięcy koron. Pod dyrekcją samego Nansena zbudowano w Laurvig krótki, zwężony, lecz mocny trójmasztowiec, nazwany przez niego „Naprzód” („Fram”). 24 czerwca 1893, wśród entuzjastycznych okrzyków tłumu, Nansen wypłynął z Chrystjanji.

21-go lipca, z przyładku Północnego, przysłał on następujący telegram do prezesa Stortingu: „W chwili opuszczenia terytorjum Norwegji, posyłam Stortingowi, a przez niego całemu narodowi norweskemu pożegnanie i podziękowanie za pomoc, którą okazał naszej wyprawie. Bierzymy się do pracy z niezachwianą nadzieją, ożywieni gorącą chęcią doprowadzenia do skutku dzieła, które będzie chlubą naszej ojczyzny.”

(Dok. n.)

K. BYSTRZYCKI.

### Z powodu „Szkiców literackich” prof. Tretiaka<sup>1)</sup>.

Ktokolwiek czytał książkę Małeckiego o Słowackim odniósł z niej chyba wrażenie, że autor wielbicielem poety, przez się charakteryzowanego, nie jest. Już to zdanie w przedmowie: „dzieła tego poety... zaczęły od lat kilku tu i owdzie, prawie nad zasługę i miarę, entuzjazmować pewną liczbę czytelników, zwłaszcza pomiędzy młodzieżą” — dostatecznie o tem przekonywa. Ponieważ, zdaniem Małeckiego, „według wszelkiego podobieństwa do prawdy, będzie się to z czasem jeszcze

powiększać...”, „bardzo wiele zależy na tem, ażeby sobie zdać raz sprawę... tak ze zalet, jako i przywar, właściwych Słowackiemu.” Postanawia więc Małecki wylać nieco zimnej wody na entuzjastów. Wątpliwem jest jednak, czy wielbiciele Słowackiego, po przeczytaniu książki pierwszego jego biografa, ochłonęli nieco ze swoich zachwy-  
tów; przeciwnie, sądzę, że wielu obojętnych uczuło pewnie wielką sympatię do poety. Sam Małecki nieraz nie może się powstrzymać od sądów entuzjastycznych. Ogólnie biorąc, zdania jego o Słowackim i jego utworach są wytrawne i sprawiedliwe.

P. Tretiaka sądy Małeckiego o Słowackim nie zadowolily. P. Tretiak nie lubi Słowackiego; antypatji swej nie ukrywa. Zachwyty wielbicieli tego poety drażnią go; postanowił więc otworzyć im oczy. Z powodu drugiego wydania dzieła Małeckiego (1881) pisze artykuł, obecnie w *Szkicach literackich* przedrukowany, który mniej więcej w ten sposób da się streścić: „Zastanówcie się, nad czem się zachwycacie; oto patrzcie, co to był za marny człowiek, ten uwielbiany przez was Słowacki.” Zarzuca Małeickiemu zbyt dużą „łaskawość,” „pobłażliwość” dla Słowackiego „przy ocenie tak pojedynczych wypadków życia, jak i utworów.” Wbrew Małeickiemu dowodzi, że przy pierwszym tylko czytaniu Słowacki porywa; przy drugim i następnym — czar przestaje działać, uwielbienie stygnie, — poezja Słowackiego staje się coraz zimniejszą. Pan T. wołałby, aby dzieła Słowackiego miały nieco mniej „z gienjalnego zacięcia,” a więcej zawierały w sobie „prawdy, prostoty i jasności;” — zapewne żeby pisał w rodzaju Syrokomli lub Brodzińskiego, bez porywów górnolotnych i fantastycznych bujań, gawędy lub sielanki. Małecki nazwał dwa wiersze: „Przekleństwo” i „Rozłącze-

<sup>1)</sup> Dr. Józef Tretiak, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. *Szkice literackie*. Serja 1. W Krakowie 1896.

— Otóż i mnie zdawało się, że Lewonas, ale chyba kto inny...

Chłopak przypatrzył się uważniej i rzekł:

— Nikt inny, to Lewonas; dziadus widzi — i czółno jego i on sam wiosłuje; tylko Lewonas tak umie: siedzi, ani poruszy się, wiosła, jak gdyby same pędzą łódkę. Ani gadać, to Lewonas.

— Pocóżby Lewonas wioził Skindrasa na wyspę? — zauważył stary głosem wątpliwym.

— I to prawda — szepnął chłopak. Ale w tejże chwili podniósł głowę i zaśmiał się.

— Wiem, pewno Lewonas chce szyc sobie buty, a może chomąt.

— I to słusznie — zauważył Maciej — może chomąt...

— Widzisz, dziadusi — wołał chłopak — ot i Rozbój przybiegl... Poszli na górę... Ani gadać, to Lewonas... Pewno chomąt...

Gdy Maciej Protas z wnukiem czynili obserwacje, dwaj przyjaciele szli z wolna ku ru-mowisku i wiedli ożywioną rozmowę..

— Po co mnie nowa chałupa? — ciągnął Lewonas. — Czy u mnie żona, dzieci?.. Cztery zimy mieszkam i chwała Bogu zdrów jestem, pomieszkam i dalej.

— Tak to tak — odparł Skindras — ale pocóż sobie żałować, jeśli człowiekowi na to starczy; wreszcie i sąsiedzi pomogą.

— Niepotrzeba mnie pomocy; za łaskę za-potrzebują zapłaty, a to do niczego...

Lewonas urwał i wskazując na legowisko, rzekł:

— Chałupa stoi jak mur, a wasan gadasz.

Otworzył drzwi, wpuścił sąsiada, usadowił go na ławie, a sam jął szperać po kątach i stawić na stół poczęstunek: a więc flaszę gorzalki, ser, masło, słoninę, wreszcie bochenek czystego żytniego chleba.

Skindras zauważył:

— Wasan powinienbyś żenić się; któż to widział, samemu i chleb piec i krowę doić — to nie męska robota.

nie, „brylantami naszej poezji lirycznej,” i słusznie. Pan T. na ten sąd się nie zgadza; spogląda na pierwszy wiersz ze stanowiska moralisty—i potępia Słowackiego za jego napisanie. Wyrzuca mu okrucieństwo względem Eglantyny, bardziej sentymentalnie nad „biedną dziewczyną, która go pokochała,” a z którą tak nieludzko się obszedł, — zapominając, że o wartości utworu rozstrzyga jego artyzm i szczerść, nie zaś, czy jest on moralnym, lub nie. Więć dalej, „przystępując z trwogą (niby) do poematu „W Szwajcarii,” „odkrywa plamy na tym słońcu;” jednak, zdaniem jego, „najbardziej to oryginalny utwór Słowackiego” (?); choć sam temu przeczy, wykazując pomysły, przez poetę zapożyczone. Pochwala „Ojca Zadżumionych,” tego niby, jak się z ironją wyraża, „arcydzieła bez zmaży,” są według p. T. przesadzone; widzi w poemacie „brak perspektywy etycznej.”

Cudny „Hymn o zachodzie słońca na morzu,” który wywołał tyle naśladowań i warjacji, — a naśladowali go tacy nawet poeci, jak Ujejski, Romanowski („Straszno mi Boże”), nawet klasyk Wężyk, — ten utwór, pełen bezbrzeżnej tęsknoty i melancholji, dziwnie magnetycznie działający na czytelnika, — razi p. T. teatralnością wyrażen. I wiersz „Testament mój,” według p. T. <sup>1)</sup> jest „mieszaniem teatralnych zachcianek, mistycznych obietnic i złudzeń.” „Żeby być aniołem,” powiada p. T., „niedosć mieć skrzydła: trzeba mieć jeszcze szczerą pokorę, myśl jasną i prostą, serce czyste i pełne miłości.” Można już teraz

<sup>1)</sup> Z powodu wiersza: „Alem jest jako człowiek itd.” powiada pan T. w przypisku, że „możnaby myśleć, że „Alem” powstało ze złego odczytania rękopisu i że należałoby czytać: „Ażem.” Domyśl ten nie sprawdza się; w rękopisie bowiem wyraźnie wypisane „Alem.”

przewidzieć, że i o „Grobie Agamemnona” sąd p. T. będzie niepoehlebny: „...i w tym wierszu nie mógł się Słowacki całkowicie wyzwolić z organicznych wad swojej muzy, do których należy w pierwszej linii (!) brak prawdy, czy to w wyrażeniu, czy w idei lub uczuciu.”

Nie dziwny się prof. Tretiakowi, gdyż Słowackiego, jak i Chopina, mogą odebrać tylko pokrewne natury, nie pokrewne genialności, lecz usposobieniem, nastrojem, mające choć odrobinę poezji w duszy. Wprawdzie i pan T. nieraz się zachwyca, ale na zimno, bo nie wypada jakoś nie chwalić Słowackiego; ale wolelibyśmy, aby był zupełnie szczerym i zamiast prawienia morałów pod adresem Słowackiego, aby się szczerze spowiadał ze swoich wrażeń, w guście impresjonistów francuskich; byłoby to nierównie ciekawsze i pożyteczniejsze. Wszak nikt nie zaprzeczy, że Kaczkowski był znakomitym pisarzem i człowiekiem wszechstronnie wykształconym: a jednak nie rozumiał Słowackiego; dla jego trzeźwego umysłu był Słowacki „poetą—szaleńcem,” Czajkowski nazywał Słowackiego „poetą szklanych wierszy.” Nawet poeci, Zaleski <sup>1)</sup> i Odyniec, nie lubili autora „Beniowskiego,” ale nie lubili go z innych powodów. Lecz nikt tak go nie rozumiał, nikt tak do głębi jego natury nie przeniknął, nikt tak go trafnie nie scharakteryzował, jak właśnie poeta, — Krasiński

Słowackiemu poświęcił pan T. jeszcze jeden szkic. W rozprawce, zatytułowanej „Hamlet polski,” rozbiera „Szczęsnego” (dramat przez Małeckiego niewłaściwie ochrzczony „Horsztyńskim”), jeden z najbardziej może charakterystycznych

<sup>2)</sup> Według Zaleskiego: „Słowacki trzyma muzę u nóg na powrozie,” „Jest dziennikarzem w wierszach, jak Krąszewski w prozie.”

— Co prawda, to prawda! I sam o tem myślę i dziedzić powiadał; ale cóż dziedzić... ot, jeżeli wasan zechcesz mnie pomóc, może jakoś i uda się... A teraz przysuwaj się do stołu.

— Jeżeli mogę, to i pomogę, — zauważył Skindras, przybliżając się.

Lewonas wytarł kieliszek, nalał z fiaszki wódki i rzekł:

— Pij sąsiedzie na zdrowie.

— Waszeć zaczynaj — odparł gość.

— Nie mogę, taka już moja służba. Pamiętam, nieboszczyk ojciec wypije bywało i zaśnie jak zabity, a jak wstanie, pójdzie do lasu, kilku drzew i nie doliczy się. Otóż zmiarkowałem sobie, że leśnikowi nie wolno pić wódki i nie piję.

— Może to i prawda — zauważył Skindras i, wychyliwszy czarkę do dna, zapytał:

— Czemże też mógłbym pomóc sąsiadowi względem żeniaczki?

— Widzisz wasan—prawił gospodarz, posuwając do gościa słoninę — trzebaby mnie niekiedy w święty dzień pójść na kiernasz, obejrzeć się, jak i co... dziewczynę jakąś wypatrzeć, a potem i na oględziny pochodzić... Wszystkoby można, jak i ludzie, ale jak zostawić las bez dozoru! Dawniej przynajmniej w święto nikt nie ważył się ścinać drzewa, a teraz ludzie zapomnieli o wszystkim... Rozbój, pies uczciwy, ale jego mogą i zastrzelić. Otóż i myślę, pójdziemy z wasanem do lasu, pokażę wszystko jak jest i jeśli przyjdzie co do czego, może wasan czasami i podozoruje za mnie.

Skończywszy prośbę, Lewonas nalał drugi kieliszek i posunął do gościa.

— Co można, to można — rzekł Skindras — i podozoruję i nawet względem dziewczyny poradzę, jako w całej włości, szyjąc to i owo, znam wszystkie doskonale. Ot choćby u Micańca sześć córek i wszystko zdrowe, gładkie... Co i mówić, cnotliwe z nich będą żony.

utworów autora „Anhellego”: „Szczęsny i Anhelli, to przecież dwa portrety Słowackiego, przez niego samego malowane. Że rozbiór ten pana T. wypadł ujemnie, na niekorzyść Słowackiego, rzecz naturalna; gdyż, jak sam p. T. powiada, starał się wskazać, jaką jest wartość dramatu, „szczególnie pod względem etycznym oceniając charakter głównego bohatera sztuki.” Z tego względu, dla pana T. „Hamlet polski” jest „poronionym utworem,” „wygląda jak ruina, malownicza wprawdzie, ale tchnąca niezdrowem powietrzem.” Inaczej wypadł sąd o tym przedziwnym utworze innego krytyka, Kotarbińskiego. Kończąc swój obszerne rozbiór „Horsztyński-go” (pomieszczony przed laty w *Przeglądzie Tygodniowym*), bezwzględnie trafnie go ocenił, powiadając: „...ludzie, uczucia, czyny i myśli tchną tu taką pełnią i bogactwem poezji, taką wyższą idealną prawdą, że „Horsztyński,” jeżeli w dzisiejszym stanie” (jest, jak wiadomo, fragmentem) „nie jest arcydziełem, to z pewnością odłamem arcydzieła.” Tak jest.

Nierównie łaskawszym jest pan T. w swych *Szkicach* dla Mickiewicza; poświęca mu cztery rozprawy. W pierwszej („Mickiewicz i Trembecki”) wykazuje wpływ Trembeckiego na Mickiewicza. Druga, zatytułowana „Mickiewicz w Odesie,” jest jakby wstępem z monografii o Mickiewiczu. Jak wiadomo, prof. Tretiak jest autorem cennej pracy, wydanej przed kilkunastu laty, pt. *Mickiewicz w Wilnie i Kownie*. W trzeciej, „Dwie Zosie Mickiewicza,” zajmuje się dociekaniem, kto był wzorem każdej z „dwóch Zoś” i stara się przekonać, że wzorem Zosi z części II „Dziadów” była Zofja Małewska, Zosi zaś z „pana Tadeusza”—Zofja Mickiewiczówna; jak gdyby to nie było obojętnem, czy ta, czy owa. Pan T. wierzy jednak w doniosłość podobnych

dociekań i obiecuje czytelnikowi być wdzięcznym, jeżeli uwierzy w jego hipotezę. Rzecz cała napisana w sposób feljetonowy i feljetonowym stylem, ze zwrotami do czytelnika w rodzaju: „Czytelnik dotychczas daremnie czekał na jakiś wyraźny dowód...” lub: „będę wdzięczny czytelnikowi, jeżeli...” Czwarty szkic jest charakterystyką Karoliny Jaenisch, wielce sympatycznej Niemki, z którą Mickiewicz o mało co nie zawarł ślubów dożgonnych. Brakuje tu jeszcze studjum autora o „Idei Wallenroda,” pomieszczonego w t. I „Pamiętnika Mickiewiczowskiego,” oraz dwóch rozpraw o wpływie Mickiewicza na Puszkina i Szewczenkę, które zapewne znajdziemy w serji II-giej „Szkiców.”

Oprócz wymienionych już artykułów przedrukował p. T. następujące swe rozprawy: „O głównych kierunkach poezji polskiej XIX wieku” przypomina, pod względem tematu, podobne rozprawy: Chmielowskiego („Porządek na poezję polską w pierwszej połowie XIX st.”) i Nehringa („O kierunkach nowszej literatury polskiej”); uzupełnia ją pominięta tu rozprawka pana T. z r. 1885, pt. „Poezja polska po Mickiewiczu.” Następnie znajdujemy pomiędzy szkicami rzecz „O satyrach Krasieckiego,” rozbiór poezji Asnyka („Asnyk i jego liryka”) zapomocą zwykłego sposobu streszczania i cytaty; charakterystykę Lema („Jan Lema. Talent i charakter”), wreszcie dwa artykuły, mniej potrzebnie tu przedrukowane: „Pierwsze występy Sienkiewicza,” czyli recenzję z r. 1880 pierwszego tomu „Pism” Sienkiewicza, zakończoną stereotypowem: „jakkolwiek wszelkie wróżby o talentach nie na wiele się zwykle przydają, to przecież wolno mi powiedzieć, że od talentu pana Sienkiewicza bardzo wiele jeszcze spodziewać się można;” oraz „Romans eksperymentalny,” wymierzony prze-

— Czy też odda za byle charłaka?

— Niema z czem i drożyć się, sam siedzi na pół włoczy, zresztą i wasan niczyjiej łaski nie potrzebujesz, żyjesz nie zgorzej od innych; ot tylko trzeba będzie pomyśleć względem chałupy.

I pomyślę, jeżeli col..

Sąsiedzi wyszli z izby. Dzień był pogodny, ani jednej chmurki na niebie. Niwa pokryta bujnemi zielonemi kłosami była cicha, uroczysta; poza obszarem niwy drzewa niby zakłęte stały w głębokiej zadumie, tylko w gąszczu ich gałęzi tu i ówdzie świergotało ptactwo. Nad gruzami, jastrzęb, niby przytwierdzony do stropu, zawisł wysoko w powietrzu—i ani drgnie. Na ogrodzie około rumowiska brodził na długich nogach bocian zadumany. Skindras obejrzał się wokół: rumowiska, kawał pola, las i niebo; tylko w jednym miejscu gałęzie drzew jakgdyby umyślnie rozstąpiły się i przez lukę można było dojrzeć maluczki punkt błyszczącej powierzchni jeziora.

— U wasana tu — zauważył gość — jesteś jakgdyby za sto mil od całego świata, ani głosu ludzkiego! Czy się wasan nie boisz?

A kogoż mam bać się? Waszeć sam powiadasz, że ani głosu ludzkiego...

— Rozmaite bywają strachy—szczególnie zimą w długie, ciemne noce.

— Tak, zimą straszniej, bo wówczas po lodzie ktoś łatwo może zakraść się na wyspę i zrobić szkodę.

Skindras zrozumiał, że każdy z nich mówi o czem innem, więc zamilkł.

W milczeniu tedy dążyli ścieżką przez niwę. Gdy doszli do lasu, Lewonas zatrzymał się i rzekł:

— Ojciec powiadał, że w tem miejscu kiedyś z zamku do jeziora szła droga, a na jeziorze stał most. Droga osadzona była dębami. Spójrz, wasan, przez las ciągną dwa rzędy wysokich, pięknych dębów—ich tutaj sto dwa naście; a wprawo, za zamkiem, ot tam, gdzie kończy się niwa, był kiedyś ogród otoczony

ciwko Zoli; wymyśla mu tu od arogancji, fanfaronstwa, braku wyższych uczuć itp.

Jak przeważna większość naszych t. zw. studentów i szkiców literackich, tak i szkice prof. Tretiaka mają, wyłącznie niemal, charakter biograficzny lub psychologiczny. Utwór literacki zajmuje dzisiejszego badacza o tyle, o ile on jest w związku z życiem i twórczością jego autora. Więc, albo poszukuje w nim danych do życiorysu lub charakterystyki twórcy, albo daje nam charakterystykę pojedynczych postaci, przedstawionych w utworze, albo zajmuje się t. zw. gienezą utworu, to jest dochodzi, w jaki sposób on powstał, w jakich warunkach lub okolicznościach, jakie wpływy działały na pomysły jego twórcy, doszukuje się reminiscencji i pożyczek z innych utworów, przyczem najczęściej przesadza. Przeciwny nasz biograf grzebie się z zamięłowaniem w mózgu autora, zasypując czytelnika gradem różnych, mniej lub więcej prawdopodobnych hipotez, bardzo nieraz misternie i „psychologicznie” skombinowanych, które jednak koniec końcem, po wyszukaniu dokumentów, okazują się chybionymi. Są nawet autorzy, którzy wprost opowiadają o życiu i myślach codziennych poety w taki sposób (tak „subtelnie”), jakby mieli przed sobą jakie osobiste jego zwierzenia lub pamiętniki. Wszystkie niemal badania nasze utworów literatury pięknej w tym kierunku się prowadzą. Natomiast rozbiór utworu pod względem estetycznym, rozpatrywanie dzieła sztuki samego w sobie, jako całości artystycznej, całkiem niemal jest zaniedbane. Jednostronność ta jest zadziwiająca. Takie kwestje, jak np.: dlaczego dany utwór jest piękny, dlaczego sprawia przeciwnemu czytelnikowi estetyczne zadowolenie, — nie są wcale brane pod uwagę, naszych badaczy nie zajmują. Budowa czyli kompozycja utworu, efe-

ktę stylistyczne, wersyfikacja, wogóle cała strona formalna, — że użyjemy pospolitego wyrażenia, — traktowana jest u nas po macoszemu.

Da się to poniekąd wytłumaczyć. Zamięłowanie do psychologicznych dociekań i niechęć do rozpatrywania strony zewnętrznej, formalnej w poezji datuje od czasów reakcji romantycznej przeciwko pseudoklasycyzmowi. Krytyka klasyków ówczesnych zasadzała się prawie wyłącznie na wytykaniu usterek gramatycznych i trywialnych niby wyrażen w poezji. Stąd się wywiązał u romantyków ten wstręt do formy wogóle, którąś w i a d o m i e nigdy się nie zajmowali.

A jednak forma w utworach sztuki pięknej jest pierwszorzędno znaczenia i decyduje o ich wartości i popularności. Utwór literacki, czy to będzie wiersz, czy proza, nie dlatego się głównie podoba, że treść jego jest piękna, lub zajmująca, ale przede wszystkim, że forma jego jest kunsztowna (pamiętajmy przytem, że formą jest nie tylko sam wiersz, ale wogóle strona zewnętrzna utworu, a więc przede wszystkim styl i wyśłowienie poetyckie, głównie zapomocą przenośni i symbolów). Łatwo się o tem przekonać, przełożywszy np. „Sonety” erotyczne Mickiewicza, lub „Księgę pieśni” Heinego na język potoczny; wątpliwe wielce, czy będzie się kto wtedy temi przykładami zachwycał, okaże się bowiem, że treść tych utworów jest całkiem banalna. Cóż pozostanie z całej poezji Bohdana Zaleskiego po takiej trawestacji; z poezji, których jedyną niemal zaletą jest melodyjność wiersza?

Niepodobna nam się tu rozwodzić nad kwestją poruszoną; ale zgodzi się chyba każdy, że badanie utworów piękna ze strony właśnie estetycznej jest ważne i od tego wszelkie studia literackie zaczynać należy. U nas, jakeśmy już rzekli, podobne badania wcale nie kwitną. Je-

dębami, tam wielkich dębów siedmdziesiąt. Mojemu ojcu jeszcze pradziad mówił, który sam słyszał od starych ludzi, że wszystkie te drzewa sadził kunigas, gdy budował zamek, dlatego i same dęby nazwaliśmy kunigasami. Zamek podobno stał trzysta lat, a jak zaczęła się ruina, też może ze trzysta lat minęło, ot i pomiarkuj wasan, wiele to lat mają kunigasy; tylko dwa drzewa na całej wyspie starsze od nich — pójdźmy, ja wasanu pokażę.

Gdy ruszyli, Lewonas prawil dalej:

— W głębi lasu na wzgórk, niby na wielkim kopcu stoją dwa dęby, co się nazywają staremi kunigasami; ojciec powiadał, że takich dębów niema pewno na całym świecie, one tu rosną od stworzenia świata. Posłuchałbyś w czasie burzy, jak one szumią, jak gniewają się. Nie myśl sobie, że się one lękają burzy, co ona im znaczy! Takie dęby będą stały może do skończenia świata. — Reszta lasu, to wszystko młodsze pokolenie, nawet te wielkie lipy... Teraz pójdźmy ot tutaj w dół...

Widzisz wasan, jakie piękne klony, one się nazywają gośćmi, na całej wyspie ich zaledwo sześćdziesiąt cztery i wszystkie posadził mój dziad, przywoził z Pilwiszek i sadził; wszystko to młodzież, najstarszy ma nie więcej jak pięćdziesiąt lat. W przeszłym roku jeden z nich usechł. Od lat kilku niedomagał... Okopywałem go, polewałem gnojówką, na zimę okręcałem pień słomą — nic nie pomogło: chorzał, chorzał i zanikł; a piękne było drzewo!

Lewonas westchnął i ruszył dalej. Przekroczył mały parów, zatrzymał się i rzekł:

— Oto te dwa jesiony i sześć dębczaków też posadził mój dziad, a tam nad parowem sześć klonów posadził mój ojciec; te dwie grusze ja sam posadziłem, wtenczas miałem zaledwo szósty rok. Widzisz wasan, im teraz ośmnaście lat, a jakie piękne.

— Że wasan posadziłeś grusze, to bardzo praktycznie, szkoda, że ich nie zaszczepiłeś, miałbyś pożytek; ale sadzić klony, dęby w dębowym lesie, to chyba nie warto.

dynym krytykiem-estetykiem, który systematycznie się zajmował rozbiorem stylu poetyckiego, był u nas Bądzkiewicz. Studja jego o Berwińskim i Ujejskim są z tego względu bardzo cenne. W „Projekcie nowego opracowania „Pana Tadeusza”, ogłoszonym przed 11 tu laty (1885), nawoływał gorąco do badań tego rodzaju i dał nawet plan takiego opracowania; ale głos jego pozostał głosem wołającego na puszczy, naśladawców nie znalazł. Dotychczas żaden jeszcze z trzech naszych wieszczów pod tym względem nie jest zbadany <sup>1)</sup>. Pierwszym, który zwrócił uwagę na styl i język autora „Pana Tadeusza” był właściwie Biegeleisen (1884), lecz praca jego jest pobieżna i tej rzeczy nie wyczerpała. W tym samym mniej więcej czasie Parylak rozpoczął wydawać „Arcydzieła poetów polskich z objaśnieniami”, gdzie znajdujemy osobne rozdziały, poświęcone rozpatrzeniu języka i stylu poetyckiego. W wydawnictwie tem jednak, przerwanem zresztą na 3-m tomiku (1-szy zawiera „Marję”, 2-gi „Ojca Zadżumionych”, 3-ci „Treny”), jako przeznaczonem dla szkół, rzecz ta jest traktowana powierzchownie i po szkolarsku. Wzorową jest praca Witkiewicza p. t. „Mickiewicz jako kolorysta”. Można by jeszcze zaliczyć świeżą rozprawę Świętochowskiego: „Poeta, jako człowiek pierwotny” do prac, o jakiej nam chodzi, gdyby jej autorowi metafory poetyckie nie służyły tylko do udowodnienia z góry postawionej tezy. Do innej kategorii badań należy rozprawa Chmielowskiego, p. t. „Estetyczno-krytyczne poglądy Ad. Mickiewicza” (ogłoszona w t. 2-gim, 3-cim i 5-m „Pa-

mietnika Mickiewiczowskiego”; jeszcze nieukończona); zajmuje się w niej biograf Mickiewicza tylko teoretycznymi poglądami poety. — Pole studjów nad wersyfikacją naszą również leży odłogiem. Próbowali wprowadzić nieco je rozruszać Bruchnałski (w pracach o rymie i o budowie zwrotek w poezji polskiej do J. Kochanowskiego) i Rowiński w bardzo cennej rozprawie „Uwagi o wersyfikacji polskiej” (pomieszczonej w t. IV *Prac filologicznych*), ale usiłowania ich pozostały bez skutku <sup>1)</sup>, Należałoby więc życzyć, aby historycy literatury naszej i krytycy przedewszystkiem zwracali uwagę na wartość estetyczną rozbiieranych utworów i w tym też kierunku zwrócili swe badania.

Wracając do „Szkiców literackich” prof. Treliaka, zaznaczyć wypada, że jest pomiędzy niemi praca, którą po części do rodzaju dopiero co wymienionych zaliczyć można: jestto rozprawa p. t. „Mickiewicz i Trembecki”, najlepsza w całej książce; wykazuje w niej autor wpływ stylu Trembeckiego na styl Mickiewicza. Wogólności jednak prof. T. lekceważy najistotniejszą cechę poezji: jej stronę estetyczną. Przedstawiwszy np. na 34 stronicach treść utworów Asnyka, tak kończy swoje studjum: „Dotychczas mówiłem o treści, o myślach i uczuciach poezji Asnyka, teraz pozostaje nam chociażby pobieżnie rzucić okiem na jego artystyczną lupinę”; więc naturalnie trzy tylko ostatnie stronicie poświęca rozpatrzeniu tej „artystycznej lupiny.”

G. KORBUT.

### ◇ WITOLD PRUSZKOWSKI. ◇

Umarł malarz-poeta, artysta wielkich zdolności, niepospolitą obdarzony fantazją i serdecznie w rzeczach swojskich rozmiłowany; ciężka, nieuleczalna choroba, na długo przed śmiercią, zgasiła iskrę natchnienia, które, jak obfite źródło, przez lat przeszło dwadzieścia, było dla polskiej sztuki krynicą czystych rozkoszy estetycznych: d. 10 b. m. w Pieszczach zakończył żywot Witold Pruszkowski w 50 roku życia.

Talent jego samorzutny i wysoce oryginalny zdążył znieźnić, ukształtować się całkowicie, oraz znaleźć właściwą drogę, zanim oświeciła naszą sztuką niepokojące prądy rozpaczliwych szatańskich poszukiwań nowych form i niewydeptanych rutyn szlaków. Nie mógł wprowadzić, jak wszyscy zresztą początkujący artyści, nie przejść okresu prób i wahań, nie mógł przedewszystkiem nie zaciążyć nad nim przemożny, porywający z bezwzględnością żywiołu ówczesna młódź artystyczna gieniusz krakowskiego mistrza, pod którego bezpośredniem kierownictwem znalazł się w klasie kompozycyjnej krakowskiej Szkoły sztuk pięknych. Przeszedł poprzednio początkowe studja w Paryżu i Monachjum, próbował już sa-

<sup>1)</sup> Dotychczas nie posiadamy nawet porządnego podręcznika poetyki; dawniejsze: Cegielskiego, Bądzkiewicza i innych, są już przestarzałe.

— Wasan nie gadaj! Jakiś dębczak, albo buk wynurzy się z ziemi w takim gąszczu, że i świata Bożego nie widzi, mógłby zginąć marnie. Trzeba jego wykopać i przenieść na lepsze miejsce. Sam przesadziłem tego drobiazgu, ze dwadzieścia sztuk... a raz, wiesz wasan, może to i wielki grzech, ale wyrąbałem starą osinę, co przeszkadzała rosnąć dębczakowi. Pójdźmy, pokażę, co to za drzewko rośnie!

Lewonas ruszył przez las krokiem szerokim, tak, że Skindras prawie biegł za nim. Po kilku chwilach zatrzymał się, z dumą wskazał bujną drzewinę i zawołał:

— Co, ładny?..

Skindras obejrzał dębczak i rzekł z powagą:

— Rzeczywiście ładny, gdyby taki drugi, coby to za paradne płozy można było urządzić!

(C. d. nast.).

BROLIS.

<sup>1)</sup> O usiłowaniach Bądzkiewicza i jego studjach P. Chmielowski w swym *Zarysie najnowszej literatury polskiej*, rzecz dziwna, ani słówkiem nie wzmiankuje.

modzielnie przyszedł twórca „Anhellego,” sił swoich w malarstwie rodzajowym, a pod wpływem Matejki zrobił większych rozmiarów obraz historyczny „Piaś przyjmujący posłów” i zrozumiał, że nie zdoła swej rozpoetyzowanej, nieco miękkiej organizacji nagiąć do surowych wymagań rodzaju historycznego. Nastąpił zwrot decydujący o całej przyszłej karierze artystycznej młodego malarza, poszedł za głosem wrodzonych skłonności i upodobań; zbliżył się do natury, do ludu, z którym się zżył i zbratał, w którego prostacznych obyczajach okiem artysty potrafił dopatrzeć stron pięknych, biorąc ośnowę do pełnych uroku, obrazów-poematów. Tak powstaje, zaczynające ową epokę przełomową: „Kiedy ranne wstają zorze,” i późniejsze „Kwietnia niedziela” i inne. Najulubieńszą jednak stała mu się cudowna kraina czarów, dokąd wleciał na skrzydłach nieudawanej fantazji i z bogatej skarbnicy ludowych baśni i legend pełną dłonią czerpał pomysły, jak: „Wilkołak,” „Rusalki,” „Noc Świętojańska,” „Madej,” „Gwiazda spadająca.” Cały świat bajeczny, owiany urokiem nadzwyczajności, opiewany przez poetów roman-tyków, ucieleśniał się w fantastycznych płótnach romantyka-malarza.

Pruszkowski nie naśladował nikogo, ani też nie miał naśladowców. Duchem pokrewnym był Grotgierowi. Pod wpływem Słowackiego stworzył najbardziej popularną, dzięki polichromicznej reprodukcji, ilustrację do poematu „Anelli.” Wszystkie dzieła w obszernym dorobku artystycznym Pruszkowskiego odznaczają się przedewszystkiem zaletami kompozycyjnymi; strona czysto malarska pozostawia czasem nieco do życzenia, zwłaszcza, gdy kompozytor daje się unieść wyobraźni za- nadto w górne sfery. Przytem, choć nie widziałem większej ilości dzieł tego artysty jednocześnie, co daje możność wyprowadzenia ogólniejszych wniosków, ale, o ile pamiętam, w różnych, róż- nemi czasy oglądanych obrazach uderzała mię pewna nierówność, pochodząca stąd, że Pruszkowski nie umiał malować na zimno, po akade- micku, z całą świadomością posiadanych środ- ków, lecz tworzył pod wrażeniem, w natchnie- niu; a czyż zawsze natchnienie dopisuje? W chwi- lach więc omdlenia władz twórczych z pracowni jego wychodziły rzeczy mniej udane, jak np. „Na kwiatach,” co nawet w pomysle i układzie nie ma właściwego innym płótnom wdzięku. Na- tomiast, bardzo dawno już temu, w salonach Zachęty, widziałem niewielki obrazek, przedsta- wiający pogrzeb biedaka wśród śnieżnej zamieci. Obrazek tak doskonały w nastroju, tak każący zapomnieć o całym aparacie pracownianym, że nie chciało się wierzyć, iż jest wynikiem pew- nych manipulacji materiałów ziemskiego po- chodzenia, lecz jednym technieniem rozmarzonej duszy, zaklętym w złoczone ramy. Jakież bezgra- niczny smutek rozlany był na tym kawałku płótna, jaka głęboka melancholja ślaniała się wśród tumanów, porwanego wichrem śniegu. Sam artysta niewielką może przywiązywał wagę do tej drobnostki, powstałej bez wysiłku na jednym prawdopodobnie posiedzeniu; — ja nigdy nie za-

pomnę, żem mu winien chwilę rzetelnego zado- wolenia estetycznego.

T. J.

## KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

**Klemens Junosza.** *Z papierów po Nieboszczyku Gzwartym.* Skład główny u Centnerszvera. Warszawa 1896.

Od pisarza, posiadającego tak wybitną indy- dualność, jak Klemens Junosza, naprzód niemal wiemy, czego się w każdym nowym jego dziele mamy spodziewać. Kostrzewski i Junosza pod swemi dzie- łami mogliby się nie podpisywać: dojrzałby ich tam najmniej nawet spostrzegawczy umysł.

Poprzez „łzawy humor” patrzy autor na nowego bohatera swojego, „Nieboszczyka Czwartego”. Oto z trudem wielkim, z wielkimi przeszkodami mate- rialnemi ukończywszy wydział filologiczny, dowiedział się pan Melchjor, „że są trzy gatunki posad na świe- cie, a mianowicie: takie, które nie wakuja, takie, które wakowały, ale tylko co zostały obsadzone i wreszcie posady wakuja, o które ubiega się kilkudziesięciu kandydatów jednocześnie.” Ale pan Melchjor przepychać się nie umiał, był to bowiem czło- wiek delikatny i ustępował z drogi każdemu — został więc pedagogiem prywatnym.

„Nieboszczyk Czwarty” nie miał pretensji do lo- su, że mu nie dano stąpać po różach. Według niego bowiem całem szczęściem jest pełnić obowiązki, przy- wiązane do skromnego stanowiska, ucziwie.

Kiedy się już przygarbił nieco, posiwiał i zaczął używać tabaki, otrzymał miejsce nauczyciela łaciny na wsi do 18-letniej p. Wandy i tam zyskuje przy- jaźń i przywiązanie serdeczne uczenicy i jej rodziny. Gdy pannie wypadło nareszcie przerwać lekcje, do- wiedział się, że uczyła się od niego łaciny jedynie dla tego, ażeby ojciec miał w domu czwartego part- niera do preferansa. Odkrycie to przeraża go i mia- żdży; „pocem się uczył? — woła rozgoryczony — aby nigdy nie być samodzielnym, tylko wiecznym zastęp- cą, wiecznym wyręczycielem, tylko czwartym do kart!”

Skromność, dobroć, potulność łacinnika, nie ro- zumiejącego życia i jego potrzeb, tego *civis Romanus*, jak go nazwała uczennica, budzi w sercu czytelnika serdeczne współczucie, a jego naiwność i dziwactwo — nieraz i uśmiech mimowolny. Obok głównej po- staci nadzwyczaj plastycznie wychodzi postać rządcy Biernackiego, „o karku bawolim, z wąsami jak pę- ki konopi,” który budzi podziw w pedagogu swoją brawurą i ekspresją stylową w rodzaju: „interes dwadzieścia cztery razy kokosowy” lub „patrzę jak sroka w kość”.

Wogóle powieść ta, jak i inne dzieła autora, daje wiele szczegółowej i z życia wziętej, ciętej, trafnej, dowcipnej charakterystyki, obok niezwyklej plastyki, liryzmu, ozłoczonego jednostajnym, pogod- nym uśmiechem. Sytuacja nader żywo i swobodnie rozwija się na silnie zarysowanym tle charakterów, typów i postaci.

k.

Nowe książki nadesłane do redakcji.

*Encyklopedia ilustrowana wiadomości pożytecznych.* Zesz. 11-ty (do lit. Kam.) Nakładem M. Arcta.

Klementyna Niedziałkowska. *Premier livre de lecture.* Lwów 1896. Jakubowski i Zadurowicz.

Michał Bałucki. *Wiś i Dziwnia.* Powieść. Warszawa 1897. S. Lewental.

Zofja Daszyńska dr. *Nietzsche - Zarathustra.* Studjum literackie. Kraków 1896. Nakład drukarni N. Pobudkiewicza.

Klemens Junosza. *Na bruku.* Powieść z życia miejskiego. Warszawa 1897. Księgarnia Sadowskiego.

**BŁĘDY JĘZYKOWE.**

50. — Z okresu „sławiańszczyzny” Bielowskiego, Siemieńskiego, Wójcickiego i innych pozostał nam w spadku wyraz *chram*, w znaczeniu świątyni, błakający się dziś jeszcze po górniej nastrojonych lutniach poetów; świeżo spotykam go w zeszycie październikowym jednego z miesięczników naszych na stronicy 137. Wyraz to południowo-słowiański; gdyby istniał w polszczyźnie, brzmiałby *chrom*, tak jak południowo-słowiańskie *grad, brada...* brzmią po polsku *gród, broda...* Ani dawniejsi pisarze nasi, ani słownik Lindego wyrazu tego nie znają; Strykowski tylko wspomina „chrominy litewskie” w znaczeniu bud, chatek. Jeżeli już mamy używać wyrazu tego, to mu nie odmawiajmy formy polskiej i piszmy *chrom*.

**NA WIDOWNI.**

Jakie książki dajemy dzieciom na „gwiazdkę.” — Dla czego sami nie bronimy zasad. — Wiwisekcja matki i żony. — Nasze pojęcie o „praktyczności.”

Początek roku szkolnego i zbliżająca się gwiazdka dają nam sposobność znęcania się nad dziećmi myślą, słowem i uczynkiem. O ile sprawa obrywania uszu i ogłupiania odbywa się w czterech ścianach domowych, musimy uszanować świętość praw rodzicielskich i domowego ogniska. Kiedy rzecz toczy się na podwórku albo na ulicy, w przytomności kucharek z przeciwną, stróża, oburzonego pana w cylindrze, rozważaniem jej trudnią się sądy, jak to niedawno zdarzyło się owym dwojgu małżonkom, z których jedno zostało uwięzionem i pozbawionem szczególnych praw i przywilejów kaleczenia potomków. Ale kiedy fala pedagogiczna wzbiera w sposób zatrważający i obok innych „wybryków natury” ukazują się w oknach wystawowych *Kurjera*, albo na półkach księgarskich — wtedy mówić o niej możemy przynajmniej

z takim samem prawem i nadzieją pozyskania słuchaczy, jak o marchwi, mającej kształt ręki ludzkiej i za to słusznie wystawionej za witrzyną naszego *Figara*.

*Kurjer* jest tak bezstronny, że za jedną szybą umieszcza kaczkę z czterema nogami, marchew pięciopalcząstą, utwory swych mężów stanu, krytyków teatralnych itp. Ale nie wszyscy krzewiciele metody pogładowej przez takie zestawienie ułatwiają nam ocenę prac swoich. „Ta oto kaczka legła się wespół z innemi naszego chowu, więc przysroty jej kończyny sąsiadki najbliższej,” zdaje się mówić redakcja. „Czyliż nie umiemy tak malować życia, że marchew bywa podobną do ręki, a ręka do marchwi?” Ale, jak powiedziałem, sami wychowawcy nasi, zrywając w marzenia ogrodzie pietruszkę, chcieliby przekonać nie tylko małych, lecz i dużych czytelników, że darzą ich rezedą czy heliotroperem. Do wykazania przeto wartości tych „przyczynków” niezbędną jest krytyka. Pierwsze jej blaski przedświataczne już się zjawily, potępiając ze szczególną surowością te książki dziecinne, które wyjdą z druku za miesiąc i zarzucając im niepraktyczność. Co do mnie, oprę się na materiale już gotowym.

Z przeczytania wielu dziełek poświęconych dzieciom wyprowadzamy jeden pewnik bardzo pocieszający: oto najniewątpliwiej nie ma wśród nas dzieci tak głupich, aby mogły z zajęciem czytać większość owych utworów; te co są w dostatecznej mierze (choć w sposób inny) niemądre — jeszcze nie umieją czytać, te zaś, co umiejętność taką posiadły, już nie są dość tępe. Powszechnie prawie obowiązującym u nas przepisem tworzenia gwiazdkowego jest taki: autor (częściej autorka) wprawia się sztucznie w stan umysłowy, zwany przez Anglików idyotyzmem łagodnym. Potem trzydziesto lub czterdziesto letni chłop albo niewiasta, z rozkosznem zaciekawieniem trzylatka, otwierają w mózgu swym szuflady z रुपієм pedagogicznym, wołając: Co tu śliczności, różności, pyszności!.. Ten wykrzyknik budzi w dziecku i n t e r e s, którego usypianiem zajmuje się później cała treść książki. Dziwna rzecz, jak my łatwo i szybko zapominamy własne nasze wrażenia i uczucia lat dziecinnych. Zdaje nam się, że dość jest zgłupieć na chwilę, mechanicznie, niejako, zmniejszyć umysłowość naszą, aby się wcisnąć do malej umysłowości dziecka: zgłupienie ma nam zastępować autorską intuicję duszy, poczynającą czuć i myśleć. Zachodzi tu nawet pewne podobieństwo zewnętrzne: obie umysłowości są małe, ale ta sztuczna jest kościanym dziadkiem z mosiężną bródką, tamta, naturalna — jest organizmem żywym. Objętościowo mieści się ta stara w tej młodziutkiej, ale wciskając się w nią brutalnie, jak do próżni, zrywa subtelne nici zewnętrzne, z których dziecko snuło sobie własną tkaninę wyobrażeń i pojęć. Obcuje z dzieckiem autor stara się być Milusińskim. Spodziewam się, że czytelnik nie

zna w zakresie naszej pedagogii reporterskiej nie wstrętniejszego nad ten wynalazek. Gdy czytam o „Milusińskich” zdaje mi się, że spędzono gdzieś z całego kraju biednych, starych karzełków, którym wiek ich nie pozwala już korzystać z przywilejów ich wzrostu. Czasem znów doznaję złudzenia, że Milusiński—to małe, po cyrkowemu wytresowane bobo, w zmiełym cylindrze i w zachlapanych piwem spodniach reportera...

Powtóre, jeżeli starszych przekonywamy, że wszystkie rodzaje są dobre oprócz nudnego, to w dzieci radziłyśmy wpoić mniemanie, że dobrym jest tylko rodzaj nudny. Ach, jak my nudnie, niezrównanie nudnie, umiemy pisać dla dzieci! Oprócz paru tłumaczeń z francuskiego i z angielskiego, paru naśladowań Verne'a, no i jeszcze paru—wszystkie te nasze cnoty i śliczności z obrazkami i bez obrazków są po prostu męczarnią nudów. Wmawiamy w dziecko, jak w Niemca chorobę, że bajeczka jest bardzo ciekawa, cieszymy się nawet, widząc jak piskłeta nasze chciwie otwierają dzioby, aby chłonąć strawę duchową, a to tymczasem młodociane szczęki rozpięrają się tak w ziewaniu. Trzeba też widzieć, jak prędko uczą się dzieci nasze hipokryzji, jak umieją udawać radość z czerwonej książeczki, choć wołałyby nieraz wziąć łyżkę tranu, niż ją przeczytać. Ta nudność książek dziecinnych występuje tem jaskrawiej, im częściej Milusiński fika, im częściej twarzyczkę pomarszczoną ukazuje nam w zastygłym uśmiechu, im częściej klaszcze porośniętymi włosami łapami. Całe życie dziecka rzeczywistego—streszcza się w działaniu: dziecko musi odrobić sobie nawet wszystkie nowo powstające w niem pojęcia, myśli, pragnienia. Całe życie książeczek zawiera się w gadaniu—w nieznośnym, nudnym, przekletem gadaniu: dzieciom książeczkowym cnota i występki wylazi gardłem, bokiem, nosem i gada, gada, a „powiedziawszy, jeszcze gada.”

Większość naszych książek dziecinnych zaliczyłbym do bardzo niebezpiecznych u nas czynników wychowania: nic tak skutecznie nie otwiera dzieciom oczu na nędzę moralną ich rodziców, jak owe nudne książeczki. Jeżeli są one niepraktyczne, to przedewszystkiem dla tego, że zbyt wczesnie zohydzają dzieciom naszą praktyczność, że każą im w wychowawcach widzieć komedjantów niezdarnych, grających swą farsę od rana do wieczora, ale z przerwami, w ciągu których ani zasłona nie spada, ani kuglarze nie chowają się za kulisy. Książeczki pełne są wzniosłych zasad, przepelnione są niemi; tymczasem praktyczność u nas—to brak zasad wyższych. Człowiek praktyczny—tak samo jak pismo praktyczne—to znaczy człowiek albo pismo bez zasad. Tytułem ustępstwa mówimy czasem, że można mieć zasady, ale dla siebie, szczerem jednak niepraktyczności jest czynne występowanie w ich obronie. Naprzód do wykonywania tej czynności nie mamy miejsca.

— Świętą miał słuszość, słyszymy o takim obrońcy, ale jakżeż można było we własnym domu tak na tamtego powiedzieć.

Nazajutrz wyrok brzmi inaczej.

— Wie pan, zgodziłbym się z nim nawet, ale czyż podobna w obcym domu tak występować.

Na trzeci dzień znowu zmiana,

— Ludzie, bójcie się wy Boga! Wszystko to piękne, ale któż się porywa na to w miejscu publicznym?

Albo jeszcze.

— Racja panie, racja, ależ w jego własnym domu tak go zekpać!

Powtóre, nie mamy ludzi odpowiedniej zamożności i stanowiska. Ująć się za słabszym, narazić się możniejszemu, jak to bywa w książeczkach, któż to zrobi?

— Panie drogi, zlituj się — jęczy biedak trzysturublowy—ja mam żonę, pięcioro dzieci, pensyjka—niema na co patrzeć—bój się pan Jezusa Ukrzyżowanego, anuż co na mnie? bo wtedy z torbami pójdziemy czy jak?..

— Hm... Niech tylko łaskawy pan posłucha mnie cierpliwie. Ja, widzi pan, sobie zawdzięczać wiele, ale nie mało też ludziom. Dzisiaj, jak pan szanowny sam wie zapewne, dochody moje przenoszą 12.000 rs., stosunki mam ogromne, koligacje, mieszkanie — jedno z lepszych w mieście... rozumie kochany pan, że zawiele miałbym do stracenia; to mogą zrobić, daruje pan, hołysze...

— Proszę pana, ja panu powiem otwarcie. Gdy bym ja był potentat, pan całą gębą, tobym machnął ręką: stracić — wielkie rzeczy, no to stracę, mam się na czym odbijać; gdy bym ja znowuż był biedak, chariak taki, co to panie boże odpuść, co nie wiele albo nic niema do stracenia — no to jeszcze! Ale ja panie jestem sobie średniak, ja sobie swoją drogą idę, ja panie dalibóg nie mogę...

Po pierwszej odpowiedzi pomyślisz sobie, czytelniku: Niech go tam! i tak ma dosyć! Po drugiej: psia kość, istotnie za dużoby stracić! Po trzeciej nic już nie myślisz, tylko się przekonywasz, że jak nie mieliśmy takiego miejsca, na którym można byłoby wygłaszać zasady albo ich bronić, tak nie mamy też odpowiedniej skali zamożności...

Nie powinniśmy ani pomawiać siebie o brak praktyczności, ani zachęcać do jej zaniedbania. Należy tylko otwierać ludziom oczy na to, czym jest praktyczność naprawdę. Na zakończenie podam taką notatkę dydaktyczną ze wspomnień osobistych.

Po cienieściu alei parku przechadzałem się z pewną młodą mężatką, rozmawiając o innej mężatce, a raczej o jej dążnościach bardzo niepraktycznych.

— Ja bo, panie, rzekła interlokutorka moja, jestem przedewszystkiem praktyczną i w tym samym kierunku prowadzę mego Jasia. Nieprawdaż, panie, że to grunt? Jasiem, a zarazem jej mężem, był ciężko zapracowany wół naszej palestry.

Delikatnie i ostrożnie, jak tego wymagało miejsce wystawione na widok publiczny, postanowiłem dokonać wiwisekcji na mojej pani w nadziei, że postępy naszej homeopatii pozwolą mi później przywołać ją do życia. W żołądku znalazłem trochę krup, parę kasków mięsa i kartofle — dużo kartofli. W głowie, na kolkach marzenia, rozpięta była prześliczna suknia balowa, a obok wisały papiloty nawinięte na zżółkłe i bardzo sterane kartki z „Poddaństwa Kobiet” Milla. W sercu tej pani leżał Jaś, śpiący nad jakimś foljałem adwokackim i stała malusieńka lalka — podobizna jej synka — w postaci Milusińskiego, przybrana w dużą czapę bardzo wysokiego przedstawiciela sztuki inżynierskiej. Aby czapko mogło utrzymać się na małej główce, podłożono tam kilka kawałków ilustracji z portretami Washingtona i jego towarzyszy.

Przywoławszy ją do życia, przemówiłem w te słowa.

Proszę pani, praktyczność jest to umiejętność zaspakajania w życiu wszystkich swych pragnień — bez szkody dla innych i z pożytkiem dla siebie, jak mówią jedni, albo z pożytkiem dla innych i bez szkody dla siebie, jak się wyrażają drudzy. Uznaje pani, że człowiek doświadcza potrzeb bardzo wielu: nie tylko niższych, od których zaspokojenia zależy jego istnienie, ale i wyższych, których zadowolenie pozwala mu się rozwijać i doznawać już nie prostego uczucia spokoju albo nasycenia, ale najwyższego szczęścia. Cóż się jednak okazuje? Oto, myśmy przywykli nazywać ludźmi praktycznymi nie tych, którzy potrafią zaspokoić wszystkie potrzeby, ale takich, co, nakazawszy milczenie wyższemu, oszukają jako tako niższe i po życiu pełnem pracy, pogwałceniu własnego serca, krzywd własnego rozumu, ran własnego honoru, wyprowadzą w końcu potomstwo swe na taką samą drogę. Najstraszniejszą niepraktycznością naszego wychowania jest to, że praktyczności naszej stawiamy zadania tak błahe, cele tak poziome. Z takich „praktyków” tworzy się później depytany przez wszystkich drobiazg życiowy, czasem nawet zastęp dobrze wprawionych fagasów — fagasów medycyny, agronomów, inżynierji, publicystyki — ale nigdy władców zawodu i panów położenia.

JAN WEZNAKI.

## G Ł O S Y.

Propaganda wstrzemięźliwości. — Porządki kolejowe. — Dziwny konkurs. — Stosuuki w zagłębiu Dąbrowskiem. — Nasi politycy.

(wl) *Kurjer Niedzielnny* poświęca ostatni feljton sprawie alkoholizmu. Autor nawołuje do zakładania stowarzyszeń wstrzemięźliwości, w czym oczywiście tylko mu przyklasnąć możemy, chcemy tylko opatrzyć ten projekt kilku uwagami.

Kwestja przeciwdziałania alkoholizmowi ma kilka stron: higieniczną, moralną, społeczną wreszcie. O pierwszej oczywiście decydować powinni specjaliści. Gdyby pomiędzy nimi zapanała zgoda, możnaby uważać kwestję za rozstrzygniętą. Niestety, tak nie jest. Wiele lekarzy praktyków umiarkowanego używania alkoholu nie uważa za szkodliwe, przeciwnie — nieraz lekarze zalecają go pacjentom. Wstrzemięźliwość popierają głównie teoretycy i specjaliści od chorób umysłowych. Nie wątpimy, że ci raczej mają słuszość, ale publiczność więcej ufa zdaniu swych codziennych zdrowotnych doradców.

Pod względem etycznym naturalnym przewodnikiem takiego ruchu wstrzemięźliwości wśród ludu powinno być stać się duchowieństwo. W krajach protestanckich wyraźnie popiera ono ruch abstynentów, co, rzecz dziwna, — jest zjawiskiem rzadkiem w krajach katolickich.

Najważniejszą jest strona społeczna tej kwestji. W Zachodniej Europie najbardziej postępowe stronnictwa biorą w swe ręce kierownictwo stowarzyszeń wstrzemięźliwości, mając na celu moralne i materialne podniesienie klas pracujących. Aby w tym kierunku działać skutecznie, trzeba przedewszystkiem podnieść ogólny dobrobyt i stworzyć takie miejsca rozrywek, które mogłyby rywalizować z szynkiem. Tam, gdzie — jak u nas — poziom kultury jest nader niski, tam, powiadamy, długo jeszcze kieliszek będzie pocieszycielem strapiionych i jedyną rozrywką spracowanych. W tem właśnie znaczeniu potężnym czynnika towarzyskiego alkohol najbardziej jest niebezpiecznym. Inicjatorowie wstrzemięźliwości powinni zdawać sobie dobrze sprawę z tej trudności i zawczasu obmyśleć zakładanie gospód, któreby skutecznie waleczyć mogły z przybytkami Bachusa.

W jednym punkcie nie możemy się zgodzić z feletonistą *Kur.* *Niedz.* Proponuje on, aby reformę rozpocząć od inteligencji. Tymczasem alkoholizm rozpościera się daleko groźniej pośród warstw pracujących, chociażby dlatego tylko, że używają one napojów wysokokowych w najgorszym gatunku. O te warstwy zresztą dobrze zrozumiany interes społeczny najbardziej dbać każe i dla tego tam przedewszystkiem usiłowania reformy skierować należy.

Jakkolwiekby, inicjatywie *Kurjera Niedzielnego* trzeba życzyć powodzenia. Nie możemy się tylko powstrzymać od sceptycznej uwagi: łatwiej jest napisać artykuł o potrzebie wstrzemięźliwości, niż położyć swoje nazwisko pod odpowiedzialniem zobowiązaniem...

\*

\*

(wl) Od czasu do czasu zjawiają się w dziennikach fakty jaskrawo ilustrujące gospodarkę naszych kolei żelaznych.

*Tydzień* piotrkowski podaje fakt następujący:

„Jeden z maszynistów starszej daty, czując się niezdrów, zażądał zwolnienia od obowiązków na pewien czas, dopóki nie powróci do normalnego stanu. Służba zdrowia odmówiła mu odpowiedniego świadectwa na czas dłuższy, a na tej zasadzie bezpośredni zwierzchnicy wyprawili go w drogę. W czasie

podróży, maszynista ów, chcąc sprawdzić stan parowozu, nachylił się cokolwiek, lecz w tejże chwili, dotknięty zawrotem głowy, spadł w pełnym biegu z pociągu. Szczęściem skończyło się na potłuczeniu, choć mogłoby być daleko gorzej... Gdzież są przepisy o bezpieczeństwie ruchu, na mocy których maszynista nawet nie chory, lecz tylko znużony lub osłabiony fizycznie, skoro zamelduje o tem swemu zwierzchnikowi, pod żadnym pozorem nie może być wyprawiony w drogę?"

To nam daje świadectwo stosunku kolei do ofiejalistów; obaczmy teraz, jak zachowuje się ona względem interesów publicznych. Dajmy głos korespondentowi *Tygodnia*:

"Przejazd kolejowy obok młyna parowego nie przestaje być narzędziem udręceń dla mieszkańców naszego miasta (Piotrkowa). Niedosć, że prawie bezustannie bywa on zamknięty z powodu przepuszczania pociągów, dość często idących jeden za drugim, tamując ruch wozowy i pieszy przez całe godziny nicomal, w dodatku jeszcze długie pociągi towarowe, wiozące obecnie znaczne transporty węgla, pomimo półgodzinnego a nieraz i dłuższego nawet postoju, nie bywają rozpinane na przejeździe, aby dać wolną drogę przechodniom.—Odnosne przepisy kolejowe wyraźnie zalecają, aby nie tamowano ruchu na przejazdach, zwłaszcza pierwszorzędnym, o ile tylko da się to pogodzić z wymaganiami bezpieczeństwa publicznego przy przebiegu pociągów... Tymczasem na stacji Piotrków, zwłaszcza w porze wieczornej, przepisy te najformalniej lekceważone bywają."

Zobaczmy z kolei jakie porządki panują na kolei Iwangrodzko Dąbrowskiej. Informuje nas o tem *Wiek*:

"Dnia 8-go b. m. pociąg towarowy nr. 30, wyladowany węglem kamiennym, wyszedł ze stacji Zagłębskiej o godz. 4-ej z minutami po południu, prawidłowo idąc pod wysoką górę „Występa,” a następnie zaczął się spuszczać po silnym spadku do przystanku Łączna. Wskutek wagi pociągu, blisko 40 tysięcy pudów, pomimo nżycia hamulców parowozu i 5 brekowych wagonów, niemożna było zapobiec zbyt szybkiemu biegowi pociągu i zatrzymać go w należytem miejscu, co widząc dyżurny na przystanku Łączna, kazał przełożyć zwrotnicę na boczną linię bezpieczeństwa, w zamiarze ochrony od niechybnego rozbicia drugiego towarowego pociągu nr. 33, oczekującego przy wejściu na stację. Że jednak linia bezpieczeństwa była zasypana warstwą piasku, a bieg pociągu nie zredukował się tyle, ażeby pociąg zupełnie uchronić od szwanku, parowóz, dotarwszy do nasypu ziemnego, wykoleił się. Sześć spiętrzonych wagonów jest zdruzgotanych i uszkodzona maszyna. Ze służby pociągowej ucierpiał bardzo maszynista, p. Zambrzycki."

Korespondent uważa za zupełnie naturalne, że „linia bezpieczeństwa była zasypana piaskiem!” Zarządy kolejowe potrafią nas przyzwyczaić do wszystkiego!

\* \* \*

(m) Prawdziwą zapewne niespodzianką dla wielu był wynik konkursu imienia Niedzielskiego

(na pieśń czterogłosową o nastroju poważnym, nadającą się do wykonywania przy uroczystościach żałobnych). Oto komisja sędziów, złożona z pp. Ciechońskiego, Polńskiego, Maszyńskiego, Zahorowskiego i Gawalewicza zawyrokowała, iż żadna z nadesłanych 20 pieśni nie kwalifikuje się do nagrody. Tem samem konkurs rozpisuje się na nowo.

Wynik był prawdziwie niespodziany, gdyż konkurs nie zapowiadał wcale warunku, iż nagrodzoną zostanie kompozycja bezwzględnie doskonała. Ażeby się takiej doczekać, sędziowie będą może zmuszeni rozpisywać konkurs w dalszym ciągu sporą ilość razy, zanim się nie narodzi gienjusz, który taką kompozycję nadeśle. Można przypuszczać, że przynajmniej połowa nadesłanych kompozycji wolną była od błędów technicznych; otóż zdaje się nam, że obowiązkiem sędziów było wybrać z pomiędzy tych utworów odznaczający się największą dozą zdolności, najlepiej brzmiący i ściśle dopadający do „uroczystości żałobnych” czyli innemi słowami w z g l ę d n i e n a j l e p s z y. Zadanie konkursu byłoby w takim razie spełnione, a potomność wiedziałaby, że w r. 1896 taka oto kompozycja była najlepszą z nadesłanych dwudziestu.

Nieprzyznanie nagrody żadnemu utworowi wygląda na coś w tym rodzaju: klasa uczy się bardzo licho, najlepszy z uczniów ma jedną dwójkę; cóż robi zapobiegliwy pan dyrektor? Oto najlepszy uczeń zostaje drugim. Pierwszego nie ma wcale!

\* \* \*

(—) *Tydzień piotrkowski* podaje ciekawą ilustrację stosunków, panujących w zagłębiu dąbrowskiem, z powodu pożaru magazynów stowarzyszenia spożywczego „Nadzieja.” Na miejscu brak straży ogniowej, więc ratunek opóźnił się aż do chwili przybycia straży z Sieleca i Sosnowca. Ale i ten ratunek był utrudniony, znaleźli się bowiem „pośród ludzi, którym oddawna Nadzieja stoi solą w oku, tacy nieponie, którzy literalnie przeszkadzali w akcji ratunkowej: beczki z wodą, jadące do pożaru, odytkano, aby woda wylała się po drodze, węża zaś straży mortimerskiej przecięto aż w pięciu miejscach."

Korespondent podaje ogólną charakterystykę stosunków miejscowych w słowach następujących:

"Dąbrowa pod względem zaludnienia i zamożności jej mieszkańców może śmiało walczyć o lepsze z najbogatszymi miastami. Tymczasem, dzięki wyjątkowym warunkom, w jakich się znajduje, pozbawiona jest najkonieczniejszych potrzeb, które by jakie takie wygody i znośniejsze życie zapewnić mogły jej mieszkańcom. Dąbrowiaczy mają niby wyższe aspiracje, lecz czynią na podobieństwo owej kokietki, co to pod kosztowną i strojną suknią brudną i podartą bieliznę ukrywa.

Zbudowaliśmy piękną i kosztowną resursę, a gdzie jest straż ogniowa?—Dlaczego toniemy w błocie niby pewne stworzenia, których mięso wzbroniono pożywać wyznawcom zakonu starego? — Dlaczego nie mamy zdrowej wody do picia? przyzwoitego kawałka mięsa, latarni na ulicach? — słowem tych wygód

do których oddawna przywykł mieszkaniec przeciętnego miasteczka, stokroć uboższego od Dąbrowy?

Bo niema tego, ktoby się chciał i umiał zająć doprowadzeniem tyle ludnej i tak bogatej osady do względnego bodajby porządku. Niema ludzi myślących o zakątku, w którym im żyć i działać sądzono, niema inicjatorów, zdolnych podjąć sprawę ogólnego pożytku. Każdy czuje się tu jakby na popasie, w jakiejś odległej krainie, gdzie przyszedł tylko po to, aby zrobić majątek i uciec pomiędzy ludzi cywilizowanych. Febris aurea panuje więc pośród nas wszechwładnie, ogarnia wszystkich i wszędzie wstrętne swe piętno wyciska."

\* \* \*

(wl) Mając przeznaczoną na ten cel osobną rubrykę, nie zaprzatamy na tem miejscu uwagi czytelników sprawami politycznymi. Z obowiązku musimy czytać codzienne rubryki polityczne pism naszych (niestety!), a w nich często spotykamy uwagi, które warto przytoczyć i ośmieszyć. I tak np. jeden z najpoważniejszych naszych dzienników politycznych wskazywał w swoim czasie prezydentowi Carnotowi dwie tylko drogi postępowania i, tylko w razie wyboru jednej z nich, obiecywał mu swoje poparcie, tak, jakby prezydent dziennik ten przy śniadaniu czytywał, niecierpliwie zdania jego wyczekując. Inny sprawozdawca polityczny urządza sobie nagankę na Gladstone'a, nie szczędząc mu epitetów w rodzaju „nierozważny,” „wścibiński,” „dzieciun” i t.p. Zapomina widocznie o tem, że gdyby dawny premier angielski był istotnie o tyle od niego głupszym, to zapewne Anglicy nie zrobiliby go premierem. Żałować styłko można, że krytyk nie urodził się w Anglii, byłby bowiem z niego gotowy przywódca stronnictwa po dymisji Rosebery'ego.

Wreszcie w ostatnich dniach czytaliśmy korespondencję z Londynu, której autor wspomina ciągle *Gladusia i Salusia*, co ma oznaczać Gladstone'a i Salisbury'ego. W takim tonie trywialnej poufałości utrzymana jest cała korespondencja, pod którą autor nie wstydził się położyć swego nazwiska. P. Edmund S. Naganowski, czyli *Nagus*, wedle własnej jego terminologii, chciał gwałtem pisać korespondencję w tonie lekkim, feljetonowym; ale efekt mu się nie udał, zrobił bowiem wrażenie misia, podrygującego na łańcuchu.

Rola sprawozdawcy politycznego nie należy u nas do łatwych. Żgóry może on być przekonany, że komentarze do słów jego obiegać będą jedynie w granicach cukierni warszawskich. Czyż to jednak dostateczny powód, aby w śmiesznych rekryminacjach zatracać poczucie godności swojej? Nieraz warto byłoby zastanowić się nad tem, że impertynencja, która napewno nie dojdzie do adresata, jest dowodem łatwej zuchowatości; że zadanie sprawozdawcy politycznego polega wyłącznie na skrzętnem notowaniu faktów i oświeclaniu ich ze stanowiska własnych przekonań. Polemiczne natchnienie, sztucznie zaczerpnięte z dzienników zagranicznych, można by bezpiecznie w koszu redakcyjnym zostawić. Dotych-

czas każda upadła wielkość jest dla naszych polityków tem przysłowiowem pochyłym drzewem, na które najczęściej skaczą, każdy zaś mąż stanu na urzędzie — skarbnicą wszechwiedzy politycznej.

## Pożądane reformy.

Wysokie udoskonalenie środków komunikacyjnych w państwach Europy zachodniej oddaje tam tak znakomite usługi rozwojowi stosunków handlowo-ekonomicznych i ogólnie społecznych, że brak tychże w krajach ościennych coraz więcej odczuwać się musi. Rosja w czasach ostatnich przedsięwzięła liczne budowy nowych dróg żelaznych i w tej mierze można się spodziewać poważnych ulepszeń, natomiast nie są one widocznymi w urządzeniach pocztowych i telegraficznych; a właśnie pod tym względem panują rażące braki, najlepiej uwydatniające się przez porównanie z odpowiedniami urządzeniami w innych państwach. Podług urzędowej statystyki, wydawanej w Bernie w międzynarodowym biurze pocztowem, posiadały w r. 1893:

|                                                | Niemcy     | Stany Zjedn. | Rosja.      |
|------------------------------------------------|------------|--------------|-------------|
| urzędów pocztowych                             | 34.011     | 69.586       | 6.344       |
| skrzynek do listów                             | 95.149     | 57.428       | 11.320      |
| urzędników telegraficznych . . . . .           | 19.384     | —            | 4.331       |
| urzędników pocztowo-telegraficznych . . . . .  | 68.235     | 153.205      | 17.245      |
| służby niższej . . . . .                       | 86.044     | 12.086       | 12.474      |
| na jedną pocztę kilom. kwadr. . . . .          | 16         | 149          | 3.536       |
| na jedną pocztę mieszkańców . . . . .          | 1.454      | 905          | 18.915      |
| ogólna przestrzeń (kilometr. kwadr.) . . . . . | 539.475    | 10.360       | 22.434.392  |
| liczba mieszkańców . . . . .                   | 49.428.470 | 62.979.766   | 120.000.000 |

(Cyfra urzędników w Stanach Zjednoczonych dotyczy tylko jednej poczty, ponieważ telegraf znajduje się w posiadaniu prywatnych towarzystw).

Z zestawienia powyższego wypada, że Niemcy mają trzy razy, a Stany Zjednoczone sześć razy więcej urzędów pocztowych, niżeli Rosja... skrzynek do listów. Przytoczone wyżej cyfry wraz z innemi były zamieszczone w referacie p. Muselusa, odczytanym i dyskutowanym niedawno na zjeździe przemysłowo-handlowym w Niżnym Nowogrodzie. Przedstawiwszy smutny stan urządzeń pocztowych i telegraficznych w Rosji, referent, poparty przez wszystkich członków sekcji zjazdu, wyraża następujące żądania:

1) Zwiększenia liczby instytucji pocztowych i telegraficznych.

2) Nadania większej szybkości komunikacji pocztowej i telegraficznej przez: a) wysyłanie częstsze korespondencji ze wszystkich ruchliwych punktów (przynajmniej dwa razy dziennie); b) dostarczanie bezpośrednio do mieszkań wszelkiej korespondencji, zaniechawszy dotychczasowych awizacji; c) wydawanie zwyczajnej korespondencji na stacjach dróg żelaznych zaraz po odejściu pociągu; d) zwiększenie liczby drutów

telegraficznych w bezpośredniej komunikacji i e) zwiększenie liczby urzędników w biurach pocztowych i telegraficznych.

3) Wprowadzenia nowych rodzajów korespondencji, zastosowanych do potrzeb handlowych: a) drobne posyłki (Colis postaux) próbek towarowych, nie ważące więcej np. nad 5 funtów przyjmować za jedną opłatą bez względu na przestrzeń; b) banderole z próbkami towarów wagi do 20 funtów, także za jedną opłatą bez względu na przestrzeń (np. 3 kop.); c) posyłki pospieszne za dodatkową opłatą; d) krótkie depesze przyjmować za ustanowioną minimalną cenę, np. 40 k. za każdą depeszę, zawierającą nie więcej nad 10 słów.

4) Uproszczenia formalności przyjmowania i wydawania korespondencji przez: a) zniesienie zaświadczeń policyjnych tożsamości osoby; b) pozwolenie opłacania depesz markami pocztowymi, wrzucanymi do skrzynek listowych; c) wydawanie firmom handlowym książek specjalnych dla ułatwienia obrachunków.

5) Rozszerzenia operacji przez zaprowadzenie: a) przekazów pieniężnych pocztowych i telegraficznych; b) poleceń pocztowych (prenumera pism itp.); c) sprzedaż papieru wekslowego i marek stemplowych.

6) Obniżenia taksy w ogólności, a szczególnie od przesyłek wartościowych a także od depesz zagranicznych.

7) Zwolnienia obanderolowanych próbek towarów od rewizji celnej.

Że wypowiedziane powyżej żądania są słuszne, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Za najpilniejsze do załatwienia punkty należy uznać pierwszy, domagający się zwiększenia liczby urzędów pocztowo-telegraficznych oraz czwarty, nawołujący do uproszczenia formalności, utrudniających najdrobniejszy stosunek z pocztą. W punkcie piątym zawarte życzenie wprowadzenia przekazów pieniężnych za pośrednictwem poczty i telegrafu można uważać już za załatwione w połowie wobec ogłoszonego świeżo rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych, które w dosłownym brzmieniu przytaczamy:

„Dając do zapewnienia ludności większych dogodności w przesyłaniu pieniędzy za pośrednictwem poczty, niezależnie od przysyłania pieniędzy w naturze, wprowadzone zostają przekazy pieniężne za pośrednictwem poczty lub telegrafu. Przepisy regulujące te przekazy są następujące:

1) Pieniądze do przekazania winny być przyjmowane przez wszystkie urzędy pocztowo-telegraficzne dla wypłaty ich w tych miastach, w których istnieje kasa skarbowe ministerjum skarbu. Zaś do miast, w których kas niema, pieniądze mogą być przysyłane tylko w naturze, aż do dalszych zarządzeń.

2) Pieniądze do przekazania na drodze telegraficznej, mogą być przyjmowane tylko pomiędzy miastami posiadającymi telegraf.

3) Aż do dalszych zarządzeń najwyższa suma, która może być przyjęta do przekazu, ogranicza się stu rublami.

4) Za przekaz pieniędzy przez pocztę pobiera się jednostajna opłata w wysokości 15 kop. za przekaz, bez względu na to, czy suma przekazu wynosi 1 czy 100 rubli, zaś przy przekazach za pośrednictwem telegrafu, niezależnie od opłaty powyższej, pobiera się jeszcze opłata za depeszę liczącą 20 wyrazów, podług taryfy normalnej.

5) Urzędy pocztowe i pocztowo-telegraficzne przyjmują pieniądze do przekazu (złoto podług kursu określonego przez ministerjum skarbu) przy deklaracjach, napisanych na specjalnych blankietach. Blankiety te przygotowują urzędy pocztowo-telegraficzne podług dwóch szematów, mianowicie: ze stemplem wartości 15 kop. i bez stempla. Blankiety na przekazy sprzedają się we wszystkich urzędach pocztowych i pocztowo-telegraficznych po cenie 1 kop. za 4 blankiety bez stempla i po cenie kop. 15 za blankiet ze stemplem.

6) Opłata pocztowa (art. 4) za przekaz na blankietach bez stempla składa się, przy złożeniu przekazu, w zwykłych markach pocztowych, które winny być naklejone przez żądającego przekazu na pierwszej stronie blankietu. Opłata telegraficzna składa się gotowizną.

7) Na pierwszej stronie blankietu przekazowego, w wierszu pierwszym, żądający przekazu winien napisać wyraźnie: „pocztą” lub „telegrafem,” stosownie do tego, którego z dwóch sposobów żąda dla przekazu. Przy żądaniu przekazu telegraficznego, depesza, zgodnie z blankietem podanym, redaguje się przez urząd pocztowo-telegraficzny.

Strona odwrotna, znajdującego się przy blankiecie przekazowym odcinka przeznaczona jest na list otwarty, wobec czego żądający przekazu „pocztą” ma prawo zapłacić ów list otwarty do odbiorcy sumy przekazanej.

8) Przekazy na blankietach przygotowanych na drodze prywatnej, oraz wymiana blankietów zepsutych na nowe—nie są dozwolone.

9) Żądający przekazu otrzymuje bezpłatnie kwit na pieniądze złożone do przekazu.

10) Odbiorca przekazu zostaje zawiadomiony przez awizacją o sumie, jaka na jego imię przekazana została i która wypłaca mu się po zgłoszeniu się do urzędu pocztowo-telegraficznego.

11) W miejscowościach, w których wprowadzono odnoszenie pieniędzy do domu, suma przekazana może być także doręczoną adresantowi w domu, zgodnie z przepisami wydanymi w tej mierze.

12) W razie zagubienia przekazu na pocztcie, urząd pocztowo-telegraficzny zwraca temu, kto złożył pieniądze, sumę odpowiednią lub na jego żądanie posyła adresantowi duplikat przekazu bez żadnej opłaty dodatkowej.

13) Do operacji przekazowej stosują się przepisy obowiązujące przy przesyłaniu pieniędzy pocztą, o ile nie zostaną zmienione.

14) Przepisy niniejsze wprowadzają się w wykonanie: w Rosji Europejskiej, na Kaukazie, w kraju Zakaukaskim i w obwodzie Zakaspijskim od 1 (13) stycznia r. 1897, zaś w Syberii od 1 (13) marca r. 1897.

Co do zastosowania operacji przekazowej w Finlandji, wydawane będą przepisy specjalne.”

Jak widać z tych przepisów z reformy korzystać będą narazie tylko te miasta, w których istnieje kasa skarbowe ministerjum finansów. W kraju naszym miasta takie oznaczają się już pewnym ruchem handlowym, dzięki czemu istnieją w nich bankierzy minorum gentium, trudniący się między innymi wydawaniem i wypłacaniem przekazów pieniężnych.

Przekazy te jednakże kosztują drogo, ponieważ oprócz prowizji bankierskiej trzeba ponosić kosztą przesyłki przekazu zazwyczaj w tym względzie rekomendowanym, podczas kiedy przekaz pocztowy, będący zarazem listem otwartym (patrz § 7) nie więcej nad oznaczone 15 kop. kosztować nie będzie.

Najważniejszym brakiem reformy jest ograniczenie przekazów do wysokości 100 rubli, należy jednakże oczekiwać dalszych w tym względzie rozporządzeń, jak również w kierunku wypłaty przekazów, obciążonej znacznymi formalnościami.

Jeżeli opłata 15 kop. pobierana od przekazów pocztą może być uważaną za zbyt drogą (w Niemczech tylko 20 fen.), to niedostępną należyż trzeba opłatę od przekazów telegraficznych, wynoszącą rs. 1 kop. 30 (20 wyrazów po 5 kop., nadto zwykle kosztą depeszy 15 kop. i za przekaz 15 kop.).

Można przewidywać, że pierwsze próby zniewolą zarząd pocztą i telegrafu do zrobienia pewnych zmian w ogłoszonych przepisach, a później nieco może doczekamy się także wprowadzenia reformy przekazów do stosunków międzynarodowych, tak szeroko stosowanych w zachodniej Europie.

S. K.

## Z OBCEGO ŚWIATA.

### Przegląd Polityczny.

Pozornie spokój panuje w Konstantynopolu. Nie wiele jednak ludności przychodzi z tego spokoju; to ciska przed nieuniknioną burzą, oznaczającą, że obie strony walczące wyczerpały się. Ale bynajmniej nie świadczy ona o poprawie stosunków, które raczej na gorsze się zmieniły. Państwa europejskie, nie mogąc zdecydować się na krok stanowczy, tracą resztki wpływu na sułtana. Chytry Turek widzi, że zmuszone są one zadawałać się obietnicami i tych nie szczędzi. Ale bezpośrednio interesowanych to nie zadawają. Widać pewne wzburzenie umysłów na Krecie z powodu, że przyrzeczone reformy istnieją dotychczas tylko na papierze. W kołach patriotów pewne znaczenie przypisują awansowaniu francuskiego konsula Blanc'a na konsula generalnego. Awans ten podwyższa jego rangę wobec innych konsulów i nadaje mu prawo przewodniczenia całemu ciału konsularnemu na Krecie, na które włożony został obowiązek pilnowania reform.

A Armeńczycy? Tymczasem cicho siedzą i w miarę możliwości emigrują. Z górą sześć tysięcy emigrantów zjawilo się w Bułgarii, a rząd nie wie, co robić z temi biedakami, niechętnie widzianymi przez

ludność miejscową w charakterze konkurentów. Liczy on na ofiarności angielskich komitetów pomocy dla Armeńczyków, ale i te ostatecznie zawieść mogą. Tymczasem rząd turecki stale stara się wyzyskać zawikłania polityczne w celu poprawy swoich mocno zrujnowanych finansów. Wydane zostało polecenie konfiskaty mienia emigrantów, pomiędzy którymi znajduje się sporo ludzi bogatych. Świeżo wtrącono do więzienia i oddano pod sąd niejakiego Apika pod zarzutem zdrady stanu, ale faktyczny powód jest prawdopodobnie ten, że oskarżony jest wierzyicielem skarbu na 2 miliony funtów, jako były dostawca. Pięciu Armeńczyków skazano na śmierć z powodu znalezienia u nich bomb. Pomimo to komitet rewolucyjny nie ustaje w działalności. Pogłoska o nowym przezeń projektowanym zamachu wywołała w Egin krwawe rozruchy, które skończyły się wymordowaniem 2 tys. Armeńczyków i spustoszeniem blisko tysiąca domów. Pod grozą śmierci wymuszono na duchowieństwie depeszę do patriarchatu, że wina zajścia spada na Armeńczyków.

Ciekawym dowodem rozkładu w Turcji są stałe buntury wojsk. W Aleksandrecie 700 rekrutów skracalo sobie czas oczekiwania na statek burzeniem domów i mordowaniem spokojnych mieszkańców. W Kossani wybuchł rokosz wśród bataljonów rezerwowych, nowopowołanych. Buntownicy uwięzili wielkorządcę, a komendant od śmierci ratował się ucieczką. Kątwo przewidzieć, jak sobie potem wojsko hulalo. Po czterech dniach komendant powrócił z czterema bataljonami posiłków i ukrócił swawolę buntowników.

Podsekretarz stanu Curzon wygłosił w Glasgowie mowę, w której poparł stanowisko lorda Rosebery'ego do sprawy armeńskiej. Pod tym względem panuje rozdzwiek pomiędzy rządem, a opinią publiczną w kraju, która na wielu meetingach wyraża gorącą sympatię prześladowanym. Rządowi angielskiemu byłoby istotnie trudno zaangażować się w Turcji, wobec tego, że ma on dużo projektów napiętych w innych częściach świata. Przedewszystkiem naturalnie chodzi o Sudan. Curzon przyznał otwarcie, że w wyprawie tam 3 cele miał rząd na widoku: odparcie derwiszów, niesienie pomocy Włochom i odzyskanie Sudanu dla Egiptu. Część tego projektu już została wykonana; dywersja na rzecz Włochów udała się i Dongola jest zajęta. Ciąg dalszy nastąpi prawdopodobnie nie tak prędko: syrdar Kitchener bowiem i wyżsi oficerowie powrócili już do Kairu. Nie jest wykluczoną możliwością, iż Anglja po to robiła tyle hałasu w Turcji, aby spokojnie urządzać swoje interesa nad Nilem.

Powstanie Matabelesów można uważać za skończone. 130-u naczelników plemion zebrało się u Rhodesa i zgodzili się oni na warunki postawione przez pełnomocnika angielskiego lorda Grey'a. Każdy z nich otrzyma pewną sumę pieniędzy i autonomję w swoim zakresie, atoli z udziałem urzędników białych. Naczelnik główny rezydować będzie w Bulawayo. Zaledwie tu sprawa została zakończoną, wybuchło powstanie w Indjach, co do którego mętnie tylko mamy wiadomości.

Granice posiadłości angielskich i portugalskich na południowschodzie Afryki zostały oznaczone z korzyścią dla Portugalji. Zebrała ona tym sposobem owoce z bankructwa polityki Rhodesa.

W ostatnich czasach znowu prasa niemiecka urządziła na Anglików nagankę, inspirowaną zdaje się z najwyższego źródła. Prawdopodobnie w ten sposób manifestuje się niezadowolenie z tego, że nie udało się Anglii przyciągnąć do trójprzymierza, które nie bardzo jest zadowolone z niezaprzeczonego zwiększenia potęgi podwójnego przymierza. Przystąpienie Anglii byłoby na inną stronę przechyliło szalę.

Zbliża się późna jesień, a z nią chwila otwarcia parlamentów, do której zarówno przygotowują się rządy, jak i stronnictwa. W Niemczech rząd podaje parlamentowi cukierek w postaci projektu reformy procedury karnej w wojsku, przedstawionego już Radzie Związkowej przez kanclerza. Stronnictwo narodowo-liberalne przegląda stare swoje kadry i widzi liczne braki; używa zwykłego panaceum i wygotowuje specjalny program chłopski. Agrariusze zaciekle odłączają się od konserwatystów, aby ruszyć do ataku pod jednym znakiem z antysemitami i liczą na 30 posłów. We Francji otwarcie parlamentu naznaczono na 27 t. m. Przedtem przywódcy rządu dużo przemawiają i bankietują. Mowy te nie różnią się niczem od zwykłych klisz partyjnych; podatek dochodowy i rewizja konstytucji odskakują na nich najwypuklej. Nie wspominamy naturalnie o długiej liście interpelacji, które zatrują też wkrótce dni żywota gabinetu włoskiego. Opozycja ma tam pytać o jeńców Menelika, uskarżać się na przewrotność Anglii i oburzać na zbliżenie rządu włoskiego do Francji. Rząd tymczasem, chcąc się z dobrej strony zaprezentować, oczyszcza administrację z hańbiących ją urzędników. Wykryto przytem masę nadużyć, w które i Crispi jest zamieszany. Oślawiony kasjer palermitański, Martinez, miał mu zapłacić 300 tysięcy lirów za krzyż komandorski. Jeżeli jednak pod tym względem obecny gabinet stoi wyżej od poprzedniego, to na innych polach, np. w Sycylii, nie nie działał i stosuje tę samą zasadę represji i ciągłych aresztowań. Wprawdzie komisarz królewski Codronchi przez zręczny układ puścił w ruch tamtejsze kopalnie siarki, ale wynagrodzenie robotników jest niedostateczne, skutkiem czego podnieśli oni groźny bunt w liczbie czterestu tysięcy.

I Austro-Węgry żwawo przygotowują się do przyszłych wyborów. Na Węgrzech stronnictwo katolicko ludowe wypisało na swym sztandarze zasadę narodowości, co może mu zjednać głosy uciśnionych Słowaków, Rumunów itd. Wiadomo, że dni austriackiej Rady Państwa są już policzone. Stronnictwa opozycyjne przez systematyczną obstrukcję pragną jeszcze dni te skrócić, uniemożliwiając uchwalenie budżetu przez obecną Izbę. Do tego rodzaju usiłowań należy zaliczyć wniosek antysemitów natychmiastowego zwołania sejmów krajowych, w celu zdecydowania, w jaki sposób (pośrednio czy bezpośrednio) odbywać się będą wybory w kurji 4-ej i 5-ej. Wniosek ten nie uzyskał nagłości, ale poraż drugi dowiódł, że gabinet nie posiada w Izbie większości. Tylko, że koalicja opozycyjna ze zbyt różnorodnych składa się żywiołów, aby mogła wyjść ze sfery bezpłodnej opozycji i służyć za podwalinę do nowej polityki rządowej.

Pomimo ciągłych urzędowych telegramów o zwycięstwach Hiszpanów na Kubie, położenie ich zdaje się tam raczej pogorszać. Projektowana pożyczka

nie doszła do skutku, gdyż towarzystwa kolejowe postawiły takie warunki, iż Canovas del Castillo w poczuciu szlachetnej ambicji zmuszony był je odrzucić. Tyle zachwalany system bezwzględny gien. Weylera pchnął niemal wszystkich mieszkańców w objęcia powstania z wyjątkiem stronnictwa zachowawczego, które dawne hasło swoje „żadnych ustępstw” zamieniło na nowe: „autonomia i precz z Weylerem”. Należało to dawno uczynić. Niefortunny inicjator sam o mało nie postradał życia, popełniony w zasadzkę przez zdradliwego Erosa. Rząd hiszpański przyspiesza w tym roku pobór i 40 tysięcy świeżego żołnierza wysyła na buntowniczą wyspę. Ma to ostatecznie posłużyć głównodowodzącemu do zgniecenia najpoważniejszego oddziału Maceo'a. Wątpić należy, czy mu się to uda, jeżeli — jak dotychczas — kierować będzie działaniami wojennymi ze swego pałacu w poczuć, że nie wypada regularnej armji uganiać się za partyzanckimi oddziałami powstańców. Perła Antyllów kosztuje obecnie Hiszpanję 10 milionów franków tygodniowo.

wl.

## Z RÓŻNYCH STRON.

**Radom.** Od p. K. Hoffmana inicjatora i założyciela czytelni bezpłatnej w Radomiu otrzymaliśmy list następujący:

Jako założycielowi i byłemu w ciągu lat 5-ciu, kierownikowi „Czytelni bezpłatnej” w Radomiu, racie łaskawie udzielić mi miejsca na szpaltach *Głosu* dla odpowiedzi korespondentowi z Radomia co do poruszanych przez niego spraw, dotyczących rzeczonoj czytelni. Jakkolwiek zrządzeniem losu oddalony zostałem od Radomia i czytelni, nie przestaję mnie jednak łączyć z nią nici żywej i szczerzej sympatji, więc też nie jestem obcy jej sprawom. Zaprojektowane przez *Gazetę Radomską* codzienne dyżury w Czytelni, jakkolwiek nie są niemożliwe do wprowadzenia, są jednak zgola zbyt ciężkie, a dodając pracy zarządzającemu czytelnią, utrudniłyby mu i bez tego niełatwe obowiązki. Według przyjętego od lat kilku regulaminu, czytelnia Radomska otwierana bywa: w niedziele i święta, we wtorki, czwartki i soboty i wigilje świąt, czyli stale 4 razy, niekiedy zaś 5 do 6 razy na tydzień. Żadna z bezpłatnych czytelni warszawskich nie doszła do tego stopnia perfekcji, żeby była otwierana bodaj 3 razy na tydzień. Prawda i to, że czytelnie warszawskie wydają 4 książki naraz, a radomska tylko jedną (jeżeli kilkotomowa, to 3—4 tomy naraz). Stosunek więc pozostaje ten sam. Pomimo powiększającego się z każdym rokiem, miesiącem, tygodniem kontyngensu czytelników, zastęp chętnych dyżurnych w czytelni jest tak liczny, że żaden z czytelników zgłaszających się po zmianę książek w terminie, przed zamknięciem czytelni nie bywa odprowadzany z kwitkiem. Wszyscy stale bywają załatwiani w ciągu jakichś 1½—2 godz. Codzienne otwieranie czytelni wpłynęłoby tylko częściowo na zmniejszenie doraźnej pracy p. dyżurnych, gdyż publiczność czytająca podzieliłaby się wtedy na drobniejsze partje, tj. zamiast 70 osób przecię-

ciowo, przypadałoby na dyżur 50, ale skoro ani sami dyżurni, ani publiczność nie skarżą się na obecny system, czegoż można chcieć lepszego? Na codziennym otwieraniu czytelni skorzystałby ci, stanowiący najgorszą część czytelników, którzy sobie tworzą sport z ustawicznego zmieniania książek, tacy, co gotowi w ciągu dnia zmienić 3 razy książki, tacy, co do których niewiadomo, czego chcą i czego szukają. Ale o takich chyba najmniej powinno chodzić zarządowi Czytelni. — Szanowny korespondent radzi dalej zarządowi, aby przed drukowaniem nowego katalogu powyrzucał z księgozbioru „romansidła”. I tej rady zarząd zapewne nie uwzględni dla tego, iż wybór książek czyni on zawsze przed zakwalifikowaniem ich do czytelni, a nie dopiero przed drukiem katalogu. — Od początku istnienia czytelni, raz na zawsze postanowiono nie dopuszczać do niej romansów nieobyczajnych i demoralizujących, wyłączono więc dostęp utworom Kocka, Borna, Gaboriau, Sue’go, niektórym Zoli itp. Poza tem lekkie, zajmujące, nieszkodliwe „romansidła” (z zastrzeżeniem: *nie dla młodzieży i dzieci*), o ile zostały ofiarowane przez kogoś, nie obciążając funduszu czytelni, włączone zostały do księgozbioru. — Należy niezapominać, że czytelnia bezpłatna na prowincji, rekrutująca uczestników ze wszystkich warstw społecznych, musi o tyle o ile zadosyć czynić różnym żądaniom i zapotrzebowaniom. Są w niej więc i dzieła specjalnie naukowe, i przystępnie popularyzujące wiedzę, i dzieła religijne, i beletrystyka krajowa i zagraniczna, i pisma periodyczne itp. Otwierając czytelnię bezpłatną w Radomiu, postawiliśmy sobie na pierwszym planie za zadanie rozkrzewienie potrzeby czytelnictwa w szerokich masach, dydaktyczne dążności odsuwając na potem. Szło nam przedewszystkiem o to, aby czas, marnowany przedtem w knajpach, szynkowniach, na plotkach i obmawianiu bliźnich — zajęło czytanie książek. Pewien odłam przedstawicieli płci pięknej, niektórzy młodzieńcy, nie wydalaający się nigdy po za mury Radomia, żądali „romansideł”. Mają je, gdy im ich zabraknie, wezmą się do powieści oryginalnych, a pomału wciągną się i do poważniejszej lektury<sup>1)</sup>. Miejsca w lokalu czytelni dla książek jeszcze nie brak, pocóż tak par force wyrzucać lub skazywać na auto-da-fe „romansidła”? Czytelnia bezpłatna nie jest czytelnią „naukową.” *Suum cuique.* Racz, szanowny panie redaktorze, przyjąć zapewne nie wdzięczności za pamięć o sprawach Czytelni i szacunku.

Karol Hoffman.

**Mińsk gubernjalny** (Kor. „Głosu”) Zamknięta przed kilku dniami wystawa ogrodnicza w Mińsku wykazała słaby jeszcze nader rozwój sadownictwa, ogrodnictwa oraz przemysłu owocowego naszej okolicy. Nie zadziwiło to zresztą nikogo. Wiemy dobrze, iż braknie nam inicjatywy i energii, by zejść wreszcie ze ścieżek przestarzałej rutyny gospodarczej i wytwarzać nowe gałęzie pracy i dochodu. Gdy zagranicą przemysł owocowy szeroko już jest rozwinięty i wszędzie zastosowanie znajduje, u nas dopiero budzić się, i to jeszcze nieświadomie, do

życia zaczyna. Wprawdzie w ostatniej ćwierci wieku liczba sadów i ogrodów wzrosła w kraju znacznie, jednak gospodarką w nich trudnią się przeważnie żydzi, wydzierżawiający sady, sprzedający owoce w stanie surowym, nie umiejący ocenić ich gatunków ani też wytworzyć dla nich szerszego handlu i dalszych rynków zbytu. Stąd i ceny dzierżawne sadów i ceny samych owoców są u nas jeszcze nader niskie. Mnóstwo jeszcze owoców marnuje się we dworach i dworach, które suszone lub przetwarzane w różne konserwy, marynaty, wina itp. mogłyby niezły dochód przynieść. Ale większość sadów znajduje się w stanie wielkiego zaniedbania i daje owoce cierpkie i skarlłowaciale, wypełniające rynki nasze a noszące charakterystyczną nazwę „owoców krajowych.” — Moglibyśmy na wystawie eksponować te zdziczałe plody naszej ogrodowej kultury, jako ciekawe okazy tej zdrobniałości, do której macosze traktowanie drzew, szlachetne owoce doprowadzić może. Wystawców takowych pono mogłoby się znaleźć więcej, niż tych, co eksponowali wyborowe gatunki. Na ogół zaś mieliśmy około 50 wystawców, wśród których naczelne miejsce zajął, jak i na poprzedniej wystawie, przed paru laty odbytej w Mińsku, p. Otton Bochwie z Florjanowa, z pow. Nowogródzkiego. On pierwszy w gub. Mińskiej rzucił się do sadownictwa na szerszą skalę i dziś jest właścicielem ogrodu, obejmującego około 30 dzies. ziemi i przynoszącego kilka tys. rs. czystego zysku. Sad florjanowski prowadzony jest wzorowo pod każdym względem. Ciekawą i pouczającą zarazem jest szczegółowa registratura drzew, przedstawiona na wystawie, wiek takowych, nomenklatura owoców, dochody i wydatki, cała historia ogrodu, dzieje niemal każdego drzewa oddzielnie. P. B. eksploatuje swe sady samoistnie, już to zbywając owoce do miast stołecznych, już to przerabiając je na wina i koniaki, które na wystawie higienicznej w Warszawie uzyskały głośnie uznanie. Są one bowiem i zdrowsze i tańsze od rozpowszechnionych w handlu fałszyfikatów. P. Bochwie już parokrotnie zbierał złote medale i obecnie w Mińsku otrzymał najwyższą nagrodę, tj. dyplom honorowy, gdyż nasze Tow. ogrodnicze złotymi medalami nie rozporządza. Eksperti przyznali takąż samą nagrodę i niższej rolniczej szkole w Marjen-Górcie, w pow. Ihumeńskim za kolekcję jarzyn i owoców, za szczepy, owoce suszone, suszarnie i przyrządy do krajania i obierania jabłek i jarzyn. Producent najpiękniejszego warzywa p. Teofil Holtzberg do konkursu nie stawał wcale. Zakład ogrodniczy p. Hollascha et C-ie w Mińsku otrzymał potwierdzenie złotego medalu a inni wystawcy owoców, w liczbie czterech, srebrne medale. Jeden z nich, p. Harting z Cielakowa, przedstawił wyroby leśne, deski, klepki, korę, terpentynę itp. — Wystawców win owocowych było kilku, co dowodzi pewnego budzącego się ruchu w tym kierunku, acz takowy dotąd ogranicza się wyrobami użytku domowego. Za najlepsze uznane zostały wina i cydr jabłeczny p. Maryana Chełchowskiego z Chożowa, z pow. Wilejskiego, nagrodzonego małym srebrnym medalem. Wystawca dąży do rozwinięcia produkcji na stopę handlową i rozszerzania takowej w miarę otwierania się dróg zbytu. Spotykamy też podjęty na szerszą nieco skalę przemysł suszenia jarzyn

1) Tacy czytelnicy, jako zamożniejsi, dają nieraz ofiary na rzecz czytelni, a i z tym względem czytelnia, opłacająca okal z własnych funduszy, liczyć się musi i powinna.

przez p. Czarnocką z Naczy, która swe konserwy jarzynowe zbywa w Odesie. Wystawczyni odznaczoną została małym srebrnym medalem. Taką nagrodę otrzymał p. Romuald Chelchowski za szczepy, p. Kołodkiewicz za róże i p. Wisnowski za rośliny cieplarniane. Reszta wystawców (ogólna liczba nagrodzonych wynosi 38) otrzymała medale brązowe i listy pochwalne. Wystawczyń przetworów jagodowych było zaledwie kilka. P. Czerniewska przedstawiła konfitury i owoce suszone, p. Zofia Chelchowska konserwy, marynaty i konfitury i p. Jodko soki, pierniki itp. za co uzyskali medale brązowe. P. Narkiewicz - Jodko demonstrował na wystawie różne zjawiska elektryczne, wpływające na uprawę ziemi i wzrost roślin i chętnie udzielał różnych w tej dziedzinie objaśnień, za co mu komitet wystawowy złożył podziękowanie piśmienne. Dział leśniczy i pszczelniczy świeciły zupełną pustką. Jedynie tylko nieco wyrobów leśnych p. Hartingha oraz trzymiesięczne jodły i sosny p. Prószyńskiego figurowały jako okazy gospodarki leśnej. Inne działy, acz liczono ich dziesięć, bardzo słabo wypełnione były. — Ludzie dobrej woli, należący do mińskiego Tow. ogrodniczego, chcąc w tym kierunku większy ruch w gubernji rozbudzić, już po raz drugi urządzą wystawę w Mińsku, nie szczędząc czasu i trudu. Ludziska, oglądając pracę innych, nabierają ochoty do naśladownictwa. — Miejmy nadzieję, iż za lat kilka poważniejsze rezultaty z tego przedstawia się pola, a w gronie eksponentów spotkamy może choć jednego sumiennego wystawcę! Sad przy chacie dotąd bowiem, niestety, do marzeń u nas należy. W okolicach podmiejskich prędkiej się cywilizujących, spotykamy wprawdzie nieliczne jabłunki, grusze i wiśnie po wsiach, lecz z owoców właściciele mało uciechy mają, gdyż działwa sąsiednia, a często i sąsiedzi sami, sprzątają je z drzewa przed dojrzaniem i drzewka jeszcze uszkadzają. Szkolnictwo na ogół wpływające z braku poszanowania cudzej własności, ujemnie oddziaływa na rozwój sadownictwa, a zapobiegnie się temu dopiero wówczas, gdy szkolki ludowe wyrobią w dzieciach poszanowanie i zamiłowanie drzew. Wprawdzie nie prędko to nastąpi. Dotąd bowiem jedyną szkolkę ze świeżo otwartym kursem ogrodniczym widzimy w Lachowiczach, w pow. Śluckim. Właściwie zaś na tych kursach kształcić się dopiero będą sami nauczyciele. — W Mińsku, jak zwykle przed rozpoczęciem roku szkolnego, wszystkie zakłady naukowe były niemal w obłożeniu, a podwoje szkolne z powodu braku wakansów, zamknęły się przed sporą ilością działwy dążącej do nauki. Obecnie w Mińsku zatwierdzone zostało otwarcie drugiej żeńskiej szkoły trzyletniej, na którą jeszcze w r.b. kasa miejska wypłaci 450 rs. a następnie asygnować będzie każdorocznie po 1.400 rs. *Iwo.*

**Sosnowice** (Kor. „Głosu”). Tutejsze towarzystwa przemysłowe zamierzają na wspólny koszt wybudować szosę, poczynawszy od ulicy Kolejowej koło posiadłości S. Reichera, domów Sosnowickiego Towarzystwa, przez bogatą w pokłady błota Ostrogórkę, wzdłuż fabryki Schoena, aż do szosy zagórskiej. Istnieje również projekt poprowadzenia szosy przez Sielce. Należałoby zarazem poruszyć kwestję trzech przejazdów kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a mianowicie około zakładów pp. Hulczyńskiego,

Dietla i na Starym Sosnowcu. Kolej bowiem Warszawsko-Wiedeńska przecina trzy najgłośniejsze arterie ruchu kołowego i pieszego, a co najgorsza, urządza w tych punktach manewry pociągów. Często ruch bywa wstrzymany na pół godziny i to powtarza się co chwila. Te anormalności stają się powodem licznych przejechań ludzi, wozów, koni. — Ruch budowlany przybrał w tym roku niebywale rozmiary. Wyrosły w naszej błotnistej dziurze domy dwu i trzypiętrowe, przeważnie tandeta pod względem technicznym i doboru materiałów. Niektóre domy już grożą zawaleniem. Powstają one bezładną gromadą; zarząd przyszłego miasta będzie miał krzyż pański z regulacją ulic. Sosnowiec wywiera wrażenie jakiegoś niesfornego malca, który wysypał na stół swe domki i dopiero jak dorośnie, będzie je porządkował na tym stole. — Jeden z przedsiębiorców zamierza wybudować tu łazienki. Będziemy więc nieco mniej brudni. Radzimy wzorować się na świeżo w Katowicach wzniesionych łazienkach, które istotnie odpowiadają wszelkim wymaganiom wygody, higieny i porządku. — Oprócz istniejących hoteli będziemy mieli jeszcze dwa; jeden na Starym Sosnowcu, drugi w pobliżu nowego kościoła; ten ostatni będzie posiadał dawno zapowiadaną salę teatralną i umożliwi zarówno częstsze dawanie widowisk, jak i bywanie na nich. Dotąd bowiem mamy jedyną salę w Sielcu, a z powodu jej odległości koszt chodzenia do teatru potraja się. A jednak każdy koncert, przedstawienie itp. jest tu niezmiernie mile widziane i stanowi niemałe ożywienie. Dąbrowa stoi pod tym względem bez porównania wyżej od nas, ponieważ posiada bardzo obszerny i wygodny gmach klubowy. Odbył się tam przed tygodniem koncert chóru amatorskiego pod batutą p. Koźmina; odegrano w przerwie jednaktówkę wierszem „Zemsta bogini” Pawła Ferrier w przekładzie Br. Przyrembla. Ten żarcik sceniczny wykonano z elegancją i finezją; słuchaliśmy z prawdziwym zadowoleniem. Młody chór natomiast umie jeszcze bardzo mało. Chwalić należy dobre chęci, cierpliwość i umiejętne kierownictwo p. Koźmina, ale z serca życzymy dalszej wytrwałości w pracy i naśladowania pod tym względem chórów katowickich p. Meistra, które cieszą się słuszną sławą i dawno zakasowały nawet Warszawę. Bynajmniej nie zamierzamy występować w roli krytyka, ale raczej przyjaznego doradcy. — Władze rządowe zezwoliły na ulokowanie czterech sióstr Miłosierdzia w szpitalu Sosnowickiego Towarzystwa na Pogoni. — Budowa nowego kościoła postępuje żółwim krokiem naprzód, mimo przeróżnych loterii fantowych, koncertów, składek i krzątaniń miejscowego proboszcza, ks. Milberta. Zdaje się, że do kompletnego wykończenia jeszcze bardzo daleko. — Prawie na wszystkich stacjach ładunkowych daje się uczuwać dotkliwy brak wagonów. Dotychczasowy tabor kolei Warszawsko-Wiedeńskiej stanowczo nie odpowiada rozmiarom ruchu przewozowego. Narzekania dochodzą nas ze wszystkich stron. Aczkolwiek dane statystyczne w tym kierunku są kolei znane i zwiększenie taboru o jedną trzecią jest koniecznością faktyczną, kolej ociąga się i potrzeb ogólnych nie uwzględnia. Ten brak wagonów jest od wielu lat chroniczną chorobą naszego przemysłu. *E. S.*

### Z zagranicy.

**Kraków** (kor. „Głosu“). Sprawa pomnika Mickiewicza posunęła się wreszcie znowu o krok naprzód. Temi dniami odbył komitet pomnika dwa posiedzenia pod przewodnictwem marszałka krajowego Stanisława hr. Badeniego i uchwalił przedewszystkiem ogłosić rachunki z funduszków, czyniąc tem samem zadość żądaniu przez opinię publiczną z wielkim naciskiem oddawna już wypowiedzanemu. Istotnie ważniejsze cyfry ogłoszono, a pokazuje się z nich, że pięć szóstych zebranego grosza już nie istnieje w funduszu Mickiewiczowskim. Ogólna suma dochodów z dniem 1 lipca b. r. wynosiła 159,776 złr. 74 centów. Wydatki pochłonęły ogółem 132,811 złr. 63 ct. Ujęto je w jedenaście większych rubryk, mianowicie: 1) pierwszy konkurs 5500 złr., 2) projekt Matejki 7950 złr., 3) drugi konkurs 5500 złr., 4) zakupno dzieł Mickiewicza 4914 złr., 5) podróże: Rygiera do Florencji, członków komitetu na posiedzenia i konsulantów technicznych do Włoch 1050 złr., 6) przeróbka z powodu fundamentów 30 złr., 7) kosztu kontraktu (honorarium adwokata i należytość skarbową) oraz nadzór techniczny 2668 złr.(!) 8) fotografie, ogłoszenia, druki, kosztu transportu modeli i podróży pisarzy, administracja itp. 4508 złr., 9) Rygierowi wypłacono 86,000 złr., 10) kantata 700 złr., wreszcie 11) cokół i ogrodzenie pomnika 13,989 złr. Po potrąceniu wydatków od dochodów pozostaje więc zaledwie 26,965 złotych reń. właściwego funduszu, nadto kaucja Rygiera w kwocie 4661 złr 78 ct. mająca służyć na zabezpieczenie praw komitetu. Na mocy umowy drugiej, zawartej d. 26 marca 1895 roku, zobowiązał się Rygier wykonać na nowo w gipsie figurę Mickiewicza w kolosalnej wielkości; boczną grupę „Nauka” bez żadnego wynagrodzenia, przesłać obie figury do Krakowa, poddać je ocenie komisji artystycznej, czuwać wreszcie nad ich odlaniem z gipsu pod własną odpowiedzialnością. Atoli tak zupełnie bezinteresownie to nie wygląda. Ma bowiem Rygier otrzymać jeszcze od komitetu w myśl powyższej umowy 9000 złr. po dostarczeniu figur w gipsie, kaucję—po odlaniu ich i ustawieniu na pomniku, a w rok potem jeszcze—odczepnego zapewne—5,000 złr. Z tego wynika, że jak dobrze pójdzie, to nawet pozostałość kasowa, jaką komitet dziś jeszcze rozporządza, nie wystarczy na opędzenie wszystkich wydatków, objętych wynagrodzeniem Rygiera, odlaniem figur, ich transportem, ustawieniem itd. Piękna gospodarka, niema co mówić! Obecny stan robót przedstawia się według telegramu Rygiera z daty: Rzym 9 października 1896, tak: „Model będzie ukończony w lutym, odlanie w brąz trwać będzie cztery miesiące, inauguracja niechybnie we wrześniu.” Komitet przyjął do wiadomości zobowiązanie Rygiera do wykonania robót w powyższym terminie, choć jednak nie bardzo ufa temu „niechybnie”, równocześnie bowiem postanowił wysłać do Rzymu delegata, który ma na miejscu stan robót zbadać, zdać komitetowi sprawę i zobowiązać jakąś trzecią jeszcze osobę zamieszkałą w Rzymie, do ciągłego pilnowania artysty. Sprawozdania tego oryginalnego kuratora mają być co miesiąc ogłaszane w dziennikach. Zobaczmy, czy

środek ten okaże się skutecznym. — Przedwczesna, a przewidywana niestety od dłuższego czasu, śmierć Witolda Pruszkowskiego, który 10 b. m. zgął w Pe-szcie, boleśnie dotknęła mieszkańców Krakowa, umiejscawiających cenię niepospolity talent tego prawdziwego poety-malarza. W gronie artystów krakowskich powstała myśl urządzenia zbiorowej wystawy prac Pruszkowskiego, wydanie albumu i uczczenie twórcy „Anhellego” i „Sielanki” i tylu dzieł znakomitych, pomnikiem. Tylko przyklasnąć chyba myśli szczęśliwej. — Tutejsze koło Towarzystwa Szkoły ludowej organizuje „uniwersytet ludowy” na wzór podobnych instytucji, cieszących się wielkiem uznaniem w Anglii, Danii, Szwecji, Ameryce. Ma to być rodzajem próby, czy w społeczeństwie naszym systematyczne popularyzowanie wiedzy należy do rzeczy możliwych i pożądanych dla ludu, czy nie. Zdaje się, że próba wypadnie pomyślnie. Obmyślono kilka serij bezpłatnych wykładów, które odbywać się będą w niedzielę. Pierwsza serja obejmuje w 6 odczytach najważniejsze wiadomości z fizjologii ustroju ludzkiego, druga wiadomości z dziedziny nauk prawno państwowych, trzecia z historii naturalnej, następnie z dziejów ojczyźnych itp. We czwartki urządzone będą pogadanki na temat odczytu, wygłoszonego w niedzielę, a to w celu wyjaśnienia wątpliwości, mogących się słuchaczom nasręczyć oraz dokładniejszego utrwalenia wiadomości, na wykładzie usłyszanych. Pierwszy odczyt zapowiedziany na 25 b. m. Wykładać będzie dr. Józef Zanietowski, asystent przy katedrze fizjologii na uniwersytecie, „O czynnościach i potrzebach ustroju ludzkiego wogóle”.  
*Zawisza.*

**Lwów** (Kor. „Głosu”) I uniwersytet i politechnika tutejsza wrą już pełnią życia; zapisy pokończono, wykłady rozpoczęte, nie zajęte katedry otrzymały nowych profesorów, jeszcze tylko grono słuchaczy niezdecydowanych nęka kancelarje szkolne o wykreślenie ich z godzin jednych a wpisanie na godziny drugich docentów. O uniwersytecie pisałem przed kilku tygodniami, tu więc wspomnę tylko, że katedra prawa kościelnego na wydziale teologicznym dostała się ks. Błażejowi Jaszowskiemu, katedrę zaś historii powszechnej opróżnioną w r. 1890 przez śmierć Liskiego zajął p. Bronisław Dembiński. Dziwnemi bo u nas sposobami dostają się ludzie na katedry uniwersyteckie. P. Dembiński, poznańczyk rodem, człowiek rozporządzający niewielkim talentem pisarskim a jeszcze mniejszą nauką, pupil stronnictwa krakowskiego i niegdyś docent prywatny historii w uniw. krakowskim, został wszechnicy lwowskiej poprostu narzucony. Na katedrę po Liskiem proponował senat uniw. trzech kandydatów: dr. Finkla Ludwika (najzdolniejszego z uczniów Liskiego), dr. Semkowicza (także wybitnego ucznia Liskiego, komentatora Długosza) i dr. Kubalę, autora omawianych niedawno w *Głosie* Szkiców historycznych. Ministerjum oświaty zamiast wybrać kogoś z przedstawionej trójki, mianowało w r. 1891 nadzwyczajnym profesorem p. Dembińskiego. Kwestja więc stałego obsadzenia katedry pozostała nieroztrzygniętą i nikomu na myśl nie przyszło, iżby na katedrze Liskiego sięgąć mogła marna miniaturka p. Tarnowskiego, człowiek, który nie prawie—prócz częstych z patosem wygłaszanych wykładów publicznych—rzeczywiście poważnego nie napisał a zjawiał

się na gruncie lwowskim w roli podrzędnego agitatora krakowskich teoryjek. I oto telegram z Wiednia: „p. Dembiński został profesorem zwyczajnym.”—Z kolei kilka słów o szkole politechnicznej. Zakład to poważny, przekształcający się powoli w znaczące ognisko naukowe na wschodnich kresach i państwa rakuskiego i Europy wogóle. Profesorów 24-ech, 9-ciu płatnych docentów, 7 docentów prywatnych i 5-ciu nauczycieli dla języków i dla praktycznego prowadzenia ksiąg rachunkowych, to już, nie licząc 18 asystentów przy katedrach, zastęp sił nauczycielskich bardzo poważny, a trzeba i na to zwrócić uwagę, że nie wszystkie katedry są specjalnie techniczne. Owszem nauki pomocnicze znalazły szerokie uwzględnienie: prof. Pilat Wł. wykłada ekonomję społeczną, p. Miczyński rolnictwo, p. Wołoszczak zoologję, botanikę etc. Ogółem ogłoszono 94 wykładów, a 12 z nich przypada na nauki ogólnie kształcące, inne specjalne. W programie, który leży przedemną, jest i statystyka uczniów w roku zeszłym. Przedstawia się ona jak następuje: Słuchaczy ogółem w zimowym półroczu 324 (z tego 195 na wydziale inżynierji, 31 budownictwa lądowego, 64 budownictwa maszyn i 34 chemiczno-technicznym), w letnim półroczu 309 (190+24+59+36). W liczbie tej naturalnie olbrzymia większość pochodzących z Galicji (261—248), ale także sporo z ces. rosyjskiego (54—52). Drobną resztą przypada na pochodzących z innych krajów. Rażąco małym jest udział Rusinów (18) i Żydów (31) w studjach technicznych.—13 b. m. rozstrzygnięto w komisji budżetowej wiedeńskiego parlamentu znów jedną z tych spraw, które świadczą, że stanowisko rządu wobec izby posłów jest nieco zachwiane. Chodziło o płace nauczycieli szkół średnich, którym działa się dotychczas krzywda w tym sensie, że równi rangą urzędnikom państwowym (kl. IX, VIII i VII-ej) pobierali płace niższe, a nadto dodatki pięcioletnie, które urzędnikom dostają się mocą ustawy, dla nauczycieli zależały od dobrej woli inspektorów szkolnych i p. ministra oświecenia. Przeciw tej nieprawidłowości wystąpił poseł Adolf Beer (powaga w kwestiach finansowych a przytem główny historyk i ekonomista), poparł go zaś prof. Pięta (prezes galic. tow. nauczycielskiego) i gorąco obstawiający przy *status quo* minister Gautsch poniósł porażkę. A Gautschowi zależało na takiej bronii, jaką są w rękach władzy dodatki pięcioletnie. Trzeba bowiem przypomnieć, że w gabinecie Badeni—Biliński, Gautsch jest elementem najwsteczniejszym. To on jeszcze za dawniejszego swego urzędowania znosił szkoły czeskie w Czechach i na Morawie, on podwyższył czesne w szkołach galicyjskich do 40 złr. rocznie, on wreszcie dążył i dąży zawsze do tego, iżby nauczycielstwo tworzyło kadry bezwarunkowo posłuszne kaprałskim jego zarządzeniom i jego to spotkała powyższa porażka, a także i druga, mianowicie ta samą datą opatrzoną uchwałą komisji budżetowej równającą płace nauczycieli z placami urzędników państwowych. Posłowie galicyjscy (Piniński i Pięta), którzy głosowali za tą uchwałą, zasługują na pełne uznanie kraju.—Niedawno urządzało ruchliwe, jak zawsze, stronnictwo ludowe wiec w Rzeszowie. Przewodniczył poseł Lewakowski, ludzi ściągnęła się moc i zjawił się także ks. Stojalowski.

Jeden ze zgromadzonych wezwał go, jako wykletego, aby zebranie opuścił. Był to nietakt, który rzuca cień na osobę owego gorliwca, bynajmniej zaś nie ubliża przewodniczącemu zabrania, tembardziej, że ów gorąco protestował przeciw tego rodzaju uietolerancji. No i prasie „gadzinowej” galicyjskiej nadarzyła się nowa sposobność ujadania na Lewakowskiego. Wylano olbrzymie stągwie oszczerstw i potwarzy. Ostatecznie musiano się zgodzić, że Lewakowski postąpił uczciwie i godziwie. To uciekanie się do walki osobistej, to silenie się na zohydzanie osób a systematyczne unikanie dyskusji rzeczowej, to wreszcie wciskanie się na zgromadzenia członków stronnictwa ludowego celem wywołania skandalu (ks. Badeni, p. Dąbski i i.)—to wszystko jest znamienne. Bodaj ozy nie jest to probierzem siły stronnictwa i wartości jego programu.

J. A. S.

## KRONIKA POWSZECHNA.

**Projekty i rozporządzenia rządowe.** Ministerjum spraw wewnętrznych, według informacji dzienników petersburskich, zamierza w najbliższej przyszłości postawić na porządku dziennym kwestję przekształcenia zarządków miejskich w gub. Królestwa Polskiego.—Nowe przepisy, opracowane przez ministerjum skarbu w sprawie nadzoru nad zakładami przemysłowo-handlowymi i ustanawiają nadzór nad zakładami, zatrudniającymi najmniej 16 robotników, lub takimi, które jako siły używają pary, gazu, elektryczności i t. p., wyrabiają materiały wybuchowe, łatwo palne lub trujące.—Według informacji „Birż. Wied.” z inicjatywy ministerjum rolnictwa uwolniono od stempla wszystkie podania adresowane do podwładnych temuż ministerjum instytucji, mających charakter naukowy lub handlowy. W ten sposób zwolnione są od stempla podania o wydanie płonek i nasion, o udzielenie informacji fachowych, o rekomendacje i t. d.—Od nowego roku 1897 departament kolejowy ma być połączony z zarządem skarbowych dróg żelaznych. Instytucja ta będzie się nazywać głównym zarządem rosyjskich dróg żelaznych i podlegać jej mają zarówno rządowe, jako też prywatne koleje.—We środę rozjeżdżają się po Cesarstwie pełnomocnicy ministerjum spraw wewnętrznych dla kierowania spisem powszechnym ludności w państwie.

**Szkoły i oświata** „Świat” donosi, iż w ministerjum oświaty podniesiono projekt wzmocnienia kontroli nad prywatnymi zakładami naukowymi.—Według informacji „Now. Wr.” w Charkowie otwarty ma być instytut górniczy. Starania mieszkańców Jekaterynosławia, o otwarcie instytutu w tem mieście nie zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem.—Pierwsze gimnazjum żeńskie na Węgrzech otwarto w tych dniach w Budapeszcie w obecności ministra oświaty. Ceremonja ta odbyła się bardzo uroczystie.

**Kronika Społeczna.** Serja odczytów publicznych różnej treści rozpocznie się w muzeum rzemiosł od początku listopada r. b. Odczyty te będą się odbywać regularnie we wtorki i czwartki każdego tygodnia. Mówić będą panowie: Gerson, budowniczy Goldberg, Lebedziński, Znatowicz i inni.—Przy zakładach akcyjnych Juliusza Heinza

w Łodzi powstaje kasa oszczędności dla majstrów i robotników fabrycznych. Ustawa projektowanej kasy wkrótce ma być złożona do zatwierdzenia władzy. — Na posiedzeniu sekcji handlowej prof. Załęski odczytał bardzo zajmujący referat, p. t. „O finansach miasta Warszawy w ostatnim okresie 12-letnim,” zaś p. Adolf Peretz „O nierzetelnej konkurencji w handlu w związku z najnowszym prawodawstwem niemieckiem.” — Na posiedzeniu Towarzystwa Łyżwiarskiego z d. 17 b. m. odczytano sprawozdanie, z którego wynika, że w zeszłym dochody Tow. wynosiły 49.881 rs., rozchody zaś 49.361 rs. Główne wydatki pochłonęły roboty około przeobrażenia Doliny. Koncerty orkiestry Ertla nie pokryły kosztów. — Duchowieństwo dekanatu grójeckiego postanowiło wzniesić przed kościołem w Grójcu pomnik ks. Piotra Skargi na pamiątkę, że był on fundatorem tamtejszego domu przytułku dla kalek i starców.

**Koleje żelazne i komunikacje.** Skup kolei Nadwiślańskiej do skarbu, jak donosi „Now. Wr.,” nastąpić ma z dniem 1 lipca 1897 r. — Towarzystwom kolejowym, jak donoszą „St. Pet. Wied.,” ma być przedstawiony projekt, aby obowiązki kasjerów na stacjach powierzane były nie osobom prywatnym, a spółkom t. z. „artelszczyków.” — Projekt reorganizacji ministerjum komunikacji, jak donosi „Świat,” został już opracowany i wkrótce złożony będzie radzie państwa do rozpatrzenia.

**Z miasta.** W ciągu r. z. w Warszawie wydarzyło się 86 samobójstw (w tem 18 powieżeń, 3 zarżnięcia, 18 zastrzeżeń, 4 utopienia, 35 rozmyslnych otruc i 8 innych samobójstw): 24 zabójstw (w tem 8 dzieciobójstw, 11 śmiertelnych pchnięć nożami, 1 zastrzelenie, 1 otrucie i 3 zabójstwa innymi sposobami); 273 wypadków śmierci niezwykłych (w tem 35 spadnięć z wysokości, 22 spalenia, 7 zagorzeń, 18 utonięć, 4 z nadużycia spirytualji i 189 nagłych śmierci), czyli razem w ciągu r. z. zmarło w Warszawie śmiercią niezwykłą 383 osób. — W tych dniach, jak donosi „Warsz. Dniw.,” odbyło się pierwsze posiedzenie warszawskiej gubernjalnej komisji do spraw spisu powszechnego.

**Nekrologja.** Zboiński Marceł, jeden z najzdolniejszych artystów sceny lwowskiej, zmarł we Lwowie — Martynowski Franciszek, literat i archeolog, zmarł w Częstochowie. — Rogoziński Michał, członek Izby sądowej warszawskiej, zmarł w Warszawie. — Ereufeucht Feliks, dziennikarz i powieściopisarz, zmarł w Warszawie.

## KRONIKA EKONOMICZNA.

— Towarz. Warszawskie oczyszczania i sprzedaży spirytusu rozstało sprawozdanie za 10-ty rok operacyjny, ukończony 30 Czerwca r. b. Posiadając 300.000 rub. kapitału akcyjnego, tow. osiągnęło ze

sprzedaży produktów 1.231.266 rub., a surowych materiałów, akcyza i różne wydatki wyniosły 1.181.360 rub., przeto zysk czysty wykazuje 49.905 rub., dając możność wyznaczenia dywidendy w stosunku 60%. Rachunek rektyfikacji wykazuje zysk czysty 42.346 rub., rachunek wywozu okowity — 17.372 rub. Wywieziono okowity:

|                            |              |   |                         |
|----------------------------|--------------|---|-------------------------|
| do Cesarstwa . . .         | 2.828 beczek | = | 13.333 235 <sup>0</sup> |
| za granicę . . .           | 4.734 „      | = | 21.988.734 <sup>0</sup> |
| sprzedano na miejscu 243 „ |              | = | 1.092.159 <sup>0</sup>  |

W fabryce rektyfikacyjnej przerobiono 5.704.077<sup>0</sup>. Dla ułatwienia wywozu okowity postanowiono już od 1 lipca r. z. zniżyć opłatę komisowego z 5-ciu na 4 kop. od wiadra i opłatę za użycie cystera do Libawy z 60-ciu na 50 rubli za obrót. W kwietniu r. b. zawarty został kontrakt ze Skarbem w przedmiocie oczyszczania okowity na potrzeby monopolu. W tym celu rozpoczętą została budowa nowej fabryki rektyfikacyjnej na Pradze i przystąpiono do zwiększenia kapitału akcyjnego o 300.000 rubli przez nową emisję 400 akcji po 750 rub. W roku sprawozdawczym stanowili zarząd towarzystwa panowie: Cywiński Ludomir, Czacki Feliks, Woroniecki Mieczysław i przewodniczący Przanowski Adam.

— W Płocku, podobnie jak w roku zeszłym, jednocześnie z jarmarkiem, odbyła się wystawa rolnicza. Pomimo, że gospodarstwa włościańskie mogły przysiąc udział w wystawie, reprezentowane były nader nieznacznie. Fakt ten tłumaczą spóźnionem rozestaniem nie licznych zawiadomień, za co winić należy komitet wystawowy.

— Podług ostatniego sprawozdania Banku Krajowego Królestwa Galicji i Lodomerji, w W. Ks. Krakowskim majątek jego w dwunastym roku istnienia wynosi w kapitale zakładowym i rezerwach zlr. 2.353.760. Całkowity obrót ze wszystkich operacji Banku we Lwowie i Krakowie w r. 1895 wyniósł zlr. 432.373.710, czysty zaś zysk — zlr. 111.862 (w r. 1894 — zlr. 143.261), rozdzielony w następnym sposób: 40% na kapitał zakładowy, 30% — na fundusz rezerwowy, 30% na rezerwy specjalne. Za pośrednictwem Banku rozparcelowano w r. 1895 pięć majątków. W tym samym roku Bank wziął udział w założeniu Akcyjnej garbarni w Rzeszowie oraz w Tow. budowy maszyn i wagonów w Sanoku.

— Galicyjski Bank kredytowy we Lwowie w 23-im roku istnienia wykazał czystego zysku zlr. 133.990, operując kapitałem 1 mil. zlr. Po odpisaniu odpowiednich rezerw wyznaczono akcjonariuszom 1% dywidendy, czyli 14 zlr. na jedną akcję. Bank jest posiadaczem kopalni w Borystawiu.

— Akcyj. tow. fab. cukru „Zbierski,” należące do W. Rephana, wyznaczyło za rok ostatni (od 1 lipca 1895 do 1 lipca 1896) 12% dywidendy.

S. K.

**Treść numeru:** Hamulec, p. I. R. — Wyprawa Nansena do bieguna północnego, p. K. Bystrzyckiego. — Z powodu „Szkiców literackich” profesora Tretiaka, p. G. Korbuta. — Witold Pruszkowski, p. T. J. — Kronika literacka i artystyczna, p. K. — Błędy językowe. — Na widowni, p. Jana Wczakiego — Głosy. — Pożądane reformy, p. S. K. — Z obcego świata. Przegląd polityczny, p. wl. — Z różnych stron. Korespondencje: z Radomia, Sosnowic, Mińska gub.; z zagranicy: z Krakowa i Lwowa. — Kronika powszechna. — Kronika ekonomiczna. — W odcinku: Lewonas Jodas, p. Brolisa. — Odpowiedzi od Redakcji (na okładce).

Redaktor i wydawca Tadeusz Strzembosz.

Дозволено цензурою, Варшава, 11 октября 1896 г. — W drukarni F. Csernaka, Krakowskie Przedmieście 6.